

# KRAJOBRAZY SŁOWA

XIV Konkurs Literacki, Kędzierzyn-Koźle 2007

# KRAJOBRAZY SŁOWA

Poezja i proza laureatów  
konkursu literackiego

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
Kędzierzyn-Koźle 2007

Serdecznie dziękujemy naszym darczyńcom za wierność,  
życzliwość i finansowe wsparcie konkursu:

- **Miejskie Wodociągi i Kanalizacja w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.**
  - **Petrochemia Blachownia S.A. Kędzierzyn-Koźle**
  - **Urząd Miasta w Kędzierzynie-Koźlu**
- **Wielobranżowy Zakład Elektryczno-Budowlany „ELBOR”  
w Kędzierzynie-Koźlu**

Projekt okładki  
*Leszek Oldak*

Opracowanie redakcyjne  
*Maria Szwed*

Korekta  
*Maria Szwed*

**ISBN 978-83-90426-17-4**  
**978-83-7511-033-3**



*Z roku na rok mamy coraz więcej konkursów literackich i ciągle powstają nowe. Jestem przekonana, że mimo ich wielości i różnorodności kędzierzyńsko-kozielskie „Krajobrazy Słowa” mają się dobrze. Od czternastu lat otrzymujemy teksty autorów kreujących słowem własne światy, chcących się porównać z innymi oraz nawiązać kontakt z czytelnikami. W tegorocznej edycji wzięło udział 257 osób, nadeszło 1044 prac, w tym 934 wierszy i 110 utworów prozą. Jury konkursu: Marta Fox, Piotr Kowalski, Karol Maliszewski i Jacek Podsiadło nagrodziło i wyróżniło 14 osób.*

*Zapraszam Państwa do dialogu z autorami zamieszczonych w książce tekstów, ponieważ wierzę, że sensem literatury jest szukać wspólnej wrażliwości i w ten sposób łączyć ludzi.*

Halina Bulanda

## ZE WSPOMNIENÍ JURORA

*Jury konkursu literackiego nie jest radą wydawniczą nobliwej oficyny, może pozwolić sobie na dezynwolturę. Toteż pozwoliliśmy sobie. Dla nas w zasadzie nie ma strat. My nie musimy obliczać zysku. Tutaj zysk jest zawsze ten sam – z wielkiej masy piszących w tym kraju wylaniamy interesująco zapowiadające się talenty, z wielkiego strumienia zapisywanych myśli wylawiamy co ciekawsze fragmenty. Dajemy szansę autorom. I dajemy literaturze nadzieję na dalsze trwanie. Bo literatura to nie tylko kanon, czyli najwyższe półki pokryte kurzem, lecz także to, co dzieje się pod dostojną powierzchnią, spontaniczny ruch oddolny. To również literacka aktywność czytelników. A właśnie spośród gorliwych czytelników biorą się spadkobiercy, tworzą się następne pokolenia literackie.*

*Krótko mówiąc, w tym roku jury położyło nacisk na świadectwa, na żywość i wiarygodność egzystencjalnego świadczenia. Tego rodzaju proza interesowała nas najbardziej. I nie musiała przy tym być formalnie nienaganna. Wydawało nam się, że są to kwestie, które każdy z autorów może w przyszłości dopracować. Trudno mu jednak będzie tego dokonać przy braku wrażliwości społecznej, czujności, zmysłu obserwacji, przy braku talentu nazywania rzeczywistości na sposób dynamiczny i dialektyczny. Przedstawiamy czytelnikom małą antologię różnych ujęć świata, różnych sposobów reprodukcji egzystencjalnych niedogodności i prób wyjścia z nich w stronę wymyślanego sensu.*

*Część druga obejmuje nagrodzone i zauważone utwory poetyckie. Poezja jest formą w stopniu o wiele większym niż proza. Mam tu na myśli specyfikę języka poetyckiego, w którym gra sensów i znaczeń dokonuje się na stosunkowo krótkim dystansie, dodatkowo poświadczanym jakością metafory. Tutaj nie da się postawić tylko na życiopisanie. To stanowczo za mało, żeby zostać zauważonym. Konkursy poetyckie ce-*

*lują więc we wskazywaniu na autorów najbardziej sprawnych, czyli takich, którzy mówią przede wszystkim formą. Mówią o stopniu swej samoświadomości artystycznej, ludzkiej i życiowej. Najbardziej dojrzałym i pełnym projektem tego rodzaju wydały nam się wiersze Izy Smolarek, Przemysława Owczarka i Marcina Orlińskiego. To autorzy ostatnio wręcz głośni, wydający właśnie debiutanckie tomiki, mocno zaznaczający swą obecność na młodoliterackiej mapie kraju. Ta uwaga dotyczyć może również poetów wyróżnionych, wśród których nazwisko Tomasza Pułki, autora wydanego w Nowej Rudzie tomiku pt. „Rewers”, coraz częściej powtarza się w opisach najciekawszych zjawisk debiutującego pokolenia.*

*Jak widać z tych obserwacji, w prozie odkryliśmy nieznaną świat, zaś w poezji potwierdziliśmy krajowe hierarchie. W pierwszym przypadku jury zaryzykowało i teraz czekać będzie na potwierdzenie kredytu zaufania. W drugim przypadku ryzyko nie służyłoby sprawie poezji. Tutaj cierpliwie poczekamy na drugie tomiki nagrodzonych i wyróżnionych autorów. Oby im starczyło talentu, siły, inspiracji.*

Karol Maliszewski

IZABELA KAWCZYŃSKA  
godło: „Menorha”

Nagroda Prezydenta Miasta  
w kategorii prozy



*IZABELA KAWCZYŃSKA urodziła się 17.09.1980 r. w Łodzi. Pracuje w Antykwaracie Enima w Łodzi. Debiutowała w 2002 r. Nagradzana w konkursach literackich m.in. „O Złote Gęsie Pióro” (2002), „Miłość nie jedno ma imię” (2007), „Poezja nad Dolinką” (2007), w Konkursie Poetyckim Kieleckiego Centrum Kultury (2007).*



## „TO SŁOWO NA D.”

Gęsta zasłona ciemności, jej przytulna miękka gąbka, naciągnięta do granic bąbelkowa folia opinająca szczelnie od wewnątrz nabrzmiałą przepaść powiek. Upośledzone grymasy, mimowolne ruchy, pozostałości elektrycznych wyładowań przebiegających pod napięciem tam i z powrotem, przenikającym splątane zwoje tkanek, ich hipnotyczny trans, wnętrze snu w łupince nieświadomego siebie ciała. Wyspa wytchnienia, tchórzliwa ucieczka, tępy balon cielejącej bezmyślności zwolnionej z obowiązku czegokolwiek, chwilowe zawieszenie broni, z którego niczym w malignie wyłaniają się mimowolne obrazy wyświetlane nieudolnym schizofrenicznym rytmem na przeciążonej taśmie umysłu, na spodniej stronie nigdzie, przesuwałej się z trzaskiem przed zatrzaśniętą źrenicą odwróconego do wewnątrz oka. Powieki zaciskają się odruchowo lub prostują zdumionym spazmem, strużka śliny ścieka z wolna w dół, kończąc swą mozolną podróż na rogu poduszki, zmiętym beznamiętnie palcami zwijanymi do wewnątrz swym bezsilnym ciepłem.

Mechaniczna klatka dnia spada na uśpione nieme istnienie nieświadome niczego co dzieje się wokół, co mogło wydarzyć się od zaśnięcia aż do teraz, przygwałdzając je do łóżka, do życia, do samego siebie, bez szans na jakąkolwiek anomalię, na jakiegokolwiek ulaskawienie, złagodzenie wyroku, wstrzymanie odwiecznej kary istnienia oddzielonej jaźni, jarzma zrzuconego na barki ludzkości, powtarzanego w opętańczym cyklu z bolesną regularnością, zadra pierworodnego grzechu, który wlecze się za nami z pokolenia na pokolenie, z matki na syna, z ojca na córkę, w nagich łupinkach ciał, gnijący obły robak, jaźń, która toczy nas swoim żywym bólem, swoim niezachwianym prawem, wzniecając krzyk we wnętrzu naszej głowy powijakami myśli, ich stro-

boskopowym piętnem, tętnicznym krwawieniem, którego nie sposób zatamować, zacisnąć, zatrzymać.

Błogosławieni obłąkani, oświeceni, uśpieni, nieprzytomni, martwi. Błogosławione dzieci i ich ufne zanurzone w sobie trwanie, ich otwarta mordka głodu, ich głośnie *teraz, teraz*. Dziecięce zen wiązania sznurówek, chwytania nosa, zbierania kasztanów, wierzenia nogami, wielkie zen z wiekiem zapominane, zrucane z siebie niczym za ciasna skóra, w którą po straszliwie długim bolesnym linieniu uparcie na ślepo próbujemy wrócić. Błogosławione zwierzęta ukryte w sieci żyłek splątających się spiralnie pod skórą, biegnących w górę i w dół, wydep-tujących w kółko swoje małe ścieżki. Błogosławieni ci, którzy odeszli. Dla wszystkich innych nie ma nadziei. Co rano ten sam rytuał. Co rano zawsze ten sam, zawsze inny świt, wezbrana nieczułość dnia, który opada w dół w rytm utartego schematu. Najmniejsze odstępstwo karne jest śmiercią. Oczywiście tylko oglądającego. Czy raczej podglądającego, jeśli mamy być dokładni. Cykl pozostaje zawsze ten sam. Zmieniają się tylko zakurzone twarze.

Buczenie pojawia się znikąd. Najpierw nieśmiało, niby od niechce-nia, potem wciąż rośnie i rośnie, wwierca się w miękkie woalki snu, je-dwabiste szelesty, rozrzucone tiule prześwitując gdzieś pod spodem, niby w lustrzanym odbiciu albo rozmazanej akwareli, wsiąkającej po-spiesznie w wyświechtany papier widzianej przez ułamek spojrzenia, jak-by kątem oka. Dźwięk wzbiera na sile do chwili, gdy włączony w obręb snu zaczyna się śnić już jawnie, jakoś rozpoznany, umiejscowiony, bliski. Sen nadaje mu znaczenie, jedno, dwa lub więcej w za-leżności od własnych pokrętnie logicznych potrzeb, potajemnych pla-nów znanych tylko tej drugiej tobie. Marzenia sennie mruczą jak musz-la, obwieszczając ci swoją skręconą do wewnątrz różowo-kruchą praw-dę, wszumiając w ciebie swoje piękno oddech za oddechem, obraz za obrazem.

Wystarczy lekkie uderzenie, by odlupać fragment, który spadnie miękko w dół, rozrastając się w locie, przesłaniając cały ekran. Z rozproszonych drobinek wyrastają pospiesznie nowe sny, nieznanne koryta, pokrętne ścieżki, koleiny przyciągające cię jak magnes, zalotnie wabiące zakryte bielmo oka, przymilne do nieprzytomności, niemy film absorbujący całą uwagę, skupiający na sobie wszystkie spojrzenia gapiów. Pozba-wiony słów wewnętrzny monolog ciała, ciąg obrazów, klatka po klatce,

oskrobany z mułu logiki do czysta, wypatroszony z rzeczywistości, wymyty z nakazów, zakazów, złudzeń. Przez chwilę sen próbuje jeszcze walczyć z napływającą falą świadomości śniętą jak senna ryba, przepływającą gdzieś między palcami, między przeszłami skulonych rzęs to tu, to tam, we wszystkie poziomo-leżące strony. Buczenie rozlewa się, jak krwotok, rozrasta się niczym złośliwy guz, rozciągnięta w czasie irytująco-swędząca wieczność jak celne ukłucie w opuszek życia szpilki fatum zardzewiałej od złośliwości. Potem jest już na wszystko za późno. Musisz otworzyć oczy.

*Jeden, dwa, trzy... boże...jedenaście, trzynaście, piętnaście...* Nie pomaga poduszka ani koldra naciągnięta po sam czubek głowy. Twoje warczenie, obelgi, znużenie ogarniające cię jak tępa miękka fala też nie pomaga. *Jestem zmęczona, budzę się zmęczona...boże, co będzie dalej...* Potem cisza zalega w powietrzu głuchym młaśnięciem, dotkliwym wybuchem gorszym niż wszystko inne. Przez chwilę obietnica snu mami jeszcze twoje palce kuszącą fatamorganą ukrytą być może gdzieś w nieokreślonej oddali, zieloność trawy, która w samym sercu pustyni wytryska przez nikogo o to nieproszona, nikomu niepotrzebna, potrzebna tak bardzo. *Nie ustawać, nie ustawać, jeszcze nie ustawać... może potem będzie lepiej, coś się samo stanie, wyjaśni, przemieni...* Nieczułość dnia nie pozostawia złudzeń. Trzeba wstać, umyć zęby, uczesać włosy, może nawet nałożyć ubranie. Jak zawsze, coś przecież trzeba. *Piętnaście sygnałów, tak chyba piętnaście, kto mógł dzwonić tak długo, przecież nikt, może coś się stało, co się miało stać, Boże, jestem taka zmęczona...*

Ludzie wspinają się na Mont Blanc, owszem, nawet zimą, przepływają kanał La Manche, malują freski Kaplicy Sykstyńskiej, ale na mnie nic nie robi większego wrażenia niż wstawanie co rano. Ta heroiczna siła, która pcha nas ciągle do przodu, która zmusza nas do dźwignięcia własnych utrudzonych kości i postawienia ich mimo skrzypienia znowu w pionie. Jak dla mnie, to jest prawdziwy wyczyn, to jest dopiero coś. „*Przebyłem noc właśnie i nikt mnie nie wita*”. Odnaleźć po gęstych mrokach nocy własną wrodzoną sobie świadomość odruchową, jak cofnięcie poparzonej dłoni, jak łapki samca żaby zaciśnięte kurczowo na samicy, głowie karpia, ludzkiej skórze – wszystko jedno, a więc odnaleźć ją, wkleić w ciągle to samo w każdej sekundzie zmieniające się ciało i nie dość na tym, udźwignąć to ciało razem z odnalezionym brze-

mieniem, z bajaniem o duszy, umyśle i tak dalej, tak, to robi na mnie wrażenie. I to wszystko w obliczu pustego oka dnia, który swoim obnażonym bielmem, swoim zimnoszklistym trwaniem w każdej chwili nie omieszka przypomnieć mi jak dobrze mógłby się obyć beze mnie.

Podróż do telefonu jest jak makroskopowe odbicie ewolucji, śmiało kopiujące kolejno coraz to nowe z jej dzieł, plagiatujące bez najmniejszego skrępowania jej najcenniejszy plon, zbierany ziarnko do ziarnka przez miliony lat, prezentujące w ruchomym wnętrzu kalejdoskopu wszystkie fazy mozolnie stroboskopowym pulsem. Wyjście z wody łóżka, wydostanie się z odmetów pościeli na brzeg, nieskoordynowane czołganie, potem na kolanach i łokciach, tylko spróbuj, zobacz jakie to proste, prawa – lewa, lewa – prawa, do przodu centymetr po centymetrze, aż ręce unoszą się coraz wyżej i wyżej, nieubłagane oddalając się od bezpiecznej twarzy podłogi. Pierwszy krok jest niepewny, pełen chwiejnej wątpliwości, pełen nieprzebranych nadziei, potem potknięcie i zaczynasz machać rękami, raz i dwa, coraz szybciej i szybciej, jak do lotu, przytrzymujesz się w ostatniej chwili przed upadkiem i teraz możesz już stać, iść, biec, zataczając się z rzadka, tylko czasem uginając się pod ciężarem niepotrzebnych pytań. *Jestem rybą, płazem, gadem, ptakiem, czasami nawet bywam człowiekiem... ciekawe, czy jeśli stanę na palcach będę choć trochę bardziej Bogiem?*

Trzeba jeszcze trafić na krzesło w ciemności lepkiego świtu, który dopada cię o jedenastej rano, mrużąc z bólem przekrwione nocą oczy. Trzeba jeszcze trafić palcem w płaski brzusek telefonu, w jego błękitniejące znamię, małe wypustki, rozkoszne zgrubienia mimowolnie drażniące opuszki unerwionym ciepłem palców, wybroszczone liczb i tajemnych znaków, co świecą tak śmiesznie w ciemnościach, jak guziczki płaszcza, odwłok świetlika, dwanaście świetlików na moim telefonie niczym dwunastu apostołów czekających cierpliwie na mój żywy palec, dwunastu żołnierzy z plastiku kroczących dumnie w różowej poświacie. Wystarczy nacisnąć i miauczą jak koty, osobno każde w swoim języku.

Nie musisz się zastanawiać, palec sam machinalnie wykonuje swój rytuał, celebryje swoją mszę pełną kadzideł, wonności i mirry, tańczy w transie derwisza swój zakurzony taniec. Niczym ślepiec wystukujący nieomylnie końcem białej laski znajomą tylko sobie drogę twój palec kroczy wcale nie dostojnie, zagapiony w siebie w bezmyślnym zacie-

trzewieniu przebiegając wte i wewte niebieską płaską przestrzeń, skacząc jak pobudzona atropiną pchła opętańczo we wszystkie strony, komponując na nowo do bólu znajomą melodię, 0... 9...3...2....6.... własną symfonię lęku i nadziei pozbawionej jakichkolwiek złudzeń, a jednak odnajdywaną za każdym razem na kocim brzuszku telefonu niczym w różowym wnętrzu życia.

– Dzwoniłeś do mnie?

– Nie, nie dzwoniłem.

–

Cisza. Potrafi pojawić się nie wiadomo skąd, przypełznąć nieproszone do naszych stóp, ocierać się o nie, nawet z lekka przy tym mruścić, jakby z zadowolenia, a potem piąć się w górę i w górę, nie pozostawiając miejsca na nic innego, choćby tak małego jak oddech, najłżejsze westchnienie, uparte bicie serca. To wszystko luksusy, które czasem kosztują za drogo, te wszystkie sympatie, miłości, nadzieje, porażki, kochankowie, przyjaciele, dzieci, luksusy, na które nie zawsze nas stać. Cisza jest darmowa. Rozgaszczą się w twoim gardle niczym na wielkiej wyprzedaży i zrozum, nie masz nic do stracenia, nic do powiedzenia, nic ważnego na tyle, by mogło być ci żal. Czasem cisza jest najlepszym co się między dwojgiem ludzi zdarza. Czasem wprost przeciwnie. Wszystko zależy od tak zwanych oczekiwań. Od tak zwanego głosu życia. Miłości. Tak zwanej.

– To pewnie automat – mówisz ty.

A właściwie nie ty, tylko jakiś mechaniczny zgrzyt, rżenie po drugiej stronie słuchawki w astralnej głuchej przestrzeni pomiędzy moją a twoją skronią, pomiędzy moim a twoim wyobrażeniem miłości, Boga, życia, tych wszystkich nieroztropnych złudzeń wyrzucanych pospiesznie za siebie ruchem gwałtownym, niczym splunięcie w twarz. *Boże, jestem taka zmęczona...* Nerwowy impuls przebiega przez druty, które zamarzają, a potem przez słuchawkę i jej ślepa twarz, przez skręconą sprężynę kabla, co skrzy się lśniąca czernią wykręcając swój obły odwłok pod ciepłem palców we wszystkie strony, przez skronie piekące jak rana, przez włosy sztywniejące chłodem, przez nagość skóry tak dotkliwą, że można by osiwieć od najłżejszego powiewu wiatru, celnego uderzenia, huraganu ciszy, który gdzieś tam na drugim końcu wzniecasz. Suchy trzask i słuchawka wraca na widełki, stapiając się

znów w jedno plastikowe cielsko, zablizniające się samo umiejętnie w swoich ranach niczym perpetuum mobile ciszy. Naga doskonałość.

Milczenie wypełnia pokój, kołysząc firanki mamiącym czułym ruchem, który nie wróży nic dobrego, a potem kotłując się samo ze sobą gdzieś pod sufitem, jak skłębione plastry rozgrzanego powietrza opada w dół ciepłym brzemieniem gładkim i nieczułym niczym kamień, który czasem możesz kopnąć, który czasem kopnąć może ciebie. Samotność tnąca powietrze oddechu uważnie wyważonym ostrzem, którym czasem pokaleczyć możesz własne życie, żyły, strach, zmęczenie zastygłe na nagim ostrzu twarzy.

Park jest przyjaźnie obojętny. I ławka. I liście. I przykrótki płaszcz. Kaczki skrzeczą zajęтым sobą skrzeczeniem, które jak neony zapala się w twojej ciężkiej głowie, pozwalając odpocząć roju os co bzyczą i bzyczą neoami myśli przepływających pod napięciem. Biała mielinizacja, sinawe synapsy, do czerwoności rozgrzany styk. Pobudzenie przeskakujące z jednej komórki do drugiej, ruchliwe niczym czerwieniące mrowisko wierzgające gdzieś tam w dole, w górze, wszystko zależy od punktu widzenia. Problem granicy „ja-ludzie”. *Czym będzie ja bez ludzi? Gdzie będą ludzie, jeśli odciąć ja?* Odpowiedź: nie ma ludzi, nie ma ja. Kształty przepływające przed twoim nosem, twój nos przepływający przed twoimi oczami, twoje oczy przepływające pod naciągniętą do granic różową skórą powiek.

Żyjąc w przestrzeni nazw stwarzasz przestrzeń, słowa, siebie, stwarzasz ludzi i ja, za każdym razem na nowo, otwierając usta, z których nieopierzone dźwięki wyskakują w ciemność jak wezbrana piana, rozkrojona na dwoje niedoskonałość. Żyjąc w przesycie słów nie zdołasz żyć naprawdę. Zawsze zależnie od definicji. Zdefiniuj mi proszę Boga, rozkosz, smutek. Zawsze jakieś uogólnienia, wieloznaczności, podział. Tylko czerni i biel, kiedy życie bardziej podobne jest do różu. Albo czerwieni tak głodnej jak otwarta rana, mordka nietoperza widziana od środka rozdziawiona łapczywie w rozpaczliwej agonii kolejnego wdechu, brama wyważona w na oścież w strasliwym głodzie życia.

Skrzypienie ławki mogłoby obudzić ze snu umarłego. Dodaj do tego skrzeczenie kaczek, brązowiejące samice trochę ciszej, pstrokate samce głośniejszej, połącz to w jedno, a masz już żywy koncert. Dodaj to tego warczące wściekle myśli, a stworzysz własną małą filharmonię dysponującą rzeszą intrumentalistów, śpiewaków, dyrygentów, rozgrzaną do

białości w skocznym rytmie bicza, flamenco, co wabi nas swym przebrzmiałym echem. *Boże, skąd ta komercja... Kosmopolityczne wizje... Powiem ci czego masz słuchać, co masz wielbić, co czuć... Czy to nie wygodne... tak niewiele do stracenia...* Problem granic ja, granic kompromisu, nadwątlonych zbyt dotkliwie granic wytrzymałości.

– Ładny park.

– Mhm.

– Listki takie ładne.

– Mhm.

– A mógłbym się tu schować przed mamą?

– Mógłbyś.

– Po co pani siedzi na tej ławce, w tym parku?

– To dobra ławka.

– Ławka dobra, ale trochę mi pani przeszkadza, bo tak to mógłbym dojechać autkiem aż dotamtąd, no tutaj, o tu, tu gdzie teraz siedzi pani noga, a przez tę nogę nie mogę i muszę jeździć tylko stąd dotąd, a chciałbym akurat tam.

– Skoro nie możesz jeździć, to może pójdziemy połowić ryby bananówki?

– Ryby bananówki? Co to takiego?

– Nic, nic. Tak tylko sobie głośno pomyślałam.

– To może po prostu rozjadę pani nogę i będzie po sprawie. Dobrze?

– Dobrze, tylko uważaj, żebyś mi jej nie zabił.

– Nie można zabić nogi. Mój tatuś jest doktorem i na pewno by mi powiedział, gdyby było można. A nie można, bo noga nie jest żywa. Noga to noga.

– Byłam ostatnio u jednego doktora.

– To może u mojego tatusia akurat. Przystojny i chudy?

– Brzydki i gruby.

– To nie mój tatuś. Mój tatuś jest najprzystojniejszy na świecie. I najukochańszy jest. Tylko jak jest. Bo go akurat nie ma. Wie pani?

– Mhm.

– I co pani powiedział ten gruby doktor?

– Nie wszystko pamiętam, bo mówił bardzo szybko i trochę się jąkał, a trochę seplenił i musiałam uważać, żeby mnie nie popluł, bo to nic miłego zostać tak poplutym, nawet troszeczkę i przez nieuwagę.

– No pewnie, że nic miłego. Jak mnie raz jeden pies popluł to go ugryzłem w ucho o tak, z całej siły, aż zapiszczał i uciekł. A panią nie boli?

– Może dlatego, że jestem taka chuda.

– Tak, to pewnie dlatego. Podniesie pani nogę, tak tylko trochę, żeby się taki mały mostek zrobił. No, ale co on powiedział?

– Coś o tym, że jestem chora.

– Oj, ja też byłem chory. Bardzo chory nawet byłem. Raz na różyczkę, ale zupełnie nie wiem dlaczego, bo żadnej różyczki nawet palcem nie tykałem, a raz mnie bolał strasznie brzusek. Ale mój tatuś jest doktorem, więc mnie rach-ciach wyleczył i babcia mówi, że jestem zdrow jak rybak, ale też nie wiem dlaczego. A pani co jest?

– Widzisz, nie pamiętam tak całkiem dokładnie. To było chyba jakieś słowo na d.

– Na d?

– Mhm.

– Delicje.

– Dekadentyzm.

– Daktyle.

– Defetyzm.

– Dalej.

– Dekapitacja.

– Dachówka.

– Dno.

– Daszek.

– Dafne.

– Drań.

– Daremnie.

– Duduś.

– Da capo.

– Delicje. Tylko nie jestem tak całkiem pewien, czy można być chorym na delicje. Zapytam tatusia. Czy to któreś z tego?

– Nie, raczej nie.

– Szkoda, bo więcej nie pamiętam.

– Mogłabym spytać jednego pisarza. On pewnie by wiedział.

– Pisarza? Kto to taki? To ktoś ważniejszy niż mój tatuś?



– To zależy dla kogo co jest ważne. Dla mnie na przykład ważniejszy. Dla ciebie na pewno nie.

– I pani zna takiego pisarza?

– Znałam, ale już nie znam. A może nigdy nie znałam. Może mi się przyśnił. Albo tylko wydawało mi się że go znam.

– Ale co on robi?

– Pisarz, to taki ktoś kto oprócz tego, że musi oddychać, pić, siusiać, jeść, spać, kochać, musi robić to wszystko i jeszcze musi pisać.

– Strasznie to śmieszne.

– Niestety nie zawsze. Ale czasami tak.

– Pani jest jakaś inna niż dorośli. Taka mniej dorosła jakby. Tylko ta noga jest dorosła i to za bardzo nawet. Nie zawsze, tylko jak mi przeszkadza jeździć.

– Mhm.

– Bo pani nie pyta, jak mam na imię. Dorośli to zaraz chcą wszystko wiedzieć, a jak masz chłopczyku na imię, a ile masz lat, a gdzie masz mamusię, tatusia, tylko pytają i pytają. Strasznie są namylni czy jakoś tak.

– Namolni?

– O właśnie.

– I jacy jeszcze?

– Nudni.

– Nieprawdziwi.

– Niedbali.

– Niszczący.

– Niebiescy.

– Nieodżałowani.

– A pani jak ma na imię? Bo ja Tomeczek, Tomuś albo Tomasz, zależy jak bardzo mamusia jest zła. A pani?

– Nie pamiętam.

– Jak można nie pamiętać? Przecież ciągle tak panią wołają.

– Nikt nie woła.

– A gdzie pani mieszka?

– Teraz na tej ławce.

– A wcześniej?

– Nie pamiętam.

– A później.

- Nie wiem.  
– To co mi pani opowie o sobie?

*Zaśpiewam Ci piosenkę o kaczuśce  
Co skakała na jednej nóżce  
Niegrzeczna kaczuśka, rozboli ją nóżka  
Hop hop, hop hop, hop hop*

*Ale kaczuśka nie słuchała  
I wciąż na nóżce skakała  
Niegrzeczna kaczuśka, już boli ją nóżka  
Hop hop, hop hop, hop hop*

Tomasz!!! Tomasz!!! Tu jesteś!!! Chodź natychmiast!!! Idziemy do domu!!! Na obiadek!!! Nie przeszkadzaj pani.

– Dzień dobry pani.

–

I już go ciągniesz z upiorną siłą wyniosłej męczennicy przez liście, przez park, przez mgłę, przez rozjuszone skrzeczenie wystraszonych kaczek, w które wlewasz się nieubłaganie, nieomylnie, donośnie, otwartą na oścież mdłą symfonią krzyku, rżeniem katarynki o popsutej korbce, której mechanizm puszczonej w ruch przy narodzinach nie zdoła się zatrzymać aż do śmierci, a może i dalej.

Tomuś tyle razy ci mówiłam o obcych, pamiętasz co ci mówiłam, tyle razy, Boże mój Boże, co za dziecko. A ty ciągle swoje. No chodźżeż!!! Dziwaczka jakaś. Kto to widział. W letnim płaszczu w listopadzie. Szybko do domu!!! Tam tatuś może w każdej chwili zadzwonić. Przecież wiesz, że tatuś jest teraz w delegacji i dlatego nie może być przez jakiś czas z nami. No, gdzie się wyrывasz!!! Co za wredny bachor!!! A... autko zostawiłeś. Gapa jedna, autko, to je przynieśże Tomeczku, prędeż!

Zbutwiała zieloność ławki, wilgotne skrzypienie desek, wszyscy, którzy siadali tu przede mną i siadać będą po mnie. To nagle *ukłucie pod sercem, czy to smutek? Samotność? Strach?* Plastikowa obecność maleńkiej zabawki zamknięta ostrożnie w mojej uważnej dłoni, rozkołysany delikatny ciężar, a potem nagła lekkość, czuły dziecięcy dotyk, ciepłutka piąstka palców na mojej zimnej skórze, małe tętniące

ciałko tuż przy moim, dziecięcy szept przy uchylonym oknie ucha. Jesteś jeszcze przez chwilę. Małe ciepłe ciałko. Dziecięcy miękki szept. Tylko kiedy jesteś. A potem akurat cię nie ma. Wiesz?

– Niech się pani nic nie przejmuje. Jutro pójdziemy na te bananówki.

Jutro. Zawsze jest jakieś jutro. Nigdy namacalne, realne, prawdziwe, obraz istniejący w zbiorowej świadomości, zakurzony archetyp, archaiczny ślad, światło co rozświetla ciemność martwych nocy przerażających nas od zawsze swym upiornym tajemniczym lśnieniem. Brzeg, do którego musimy dobić. Nawet umarli. Konają i powtarzają *jutro*. Potrzeba jakiegoś oparcia, bezpieczeństwa, historyczna potrzeba złudzeń, w objęciach których niczym zahipnotyzowane śmy zdołamy przedostać się przez nieświadomość zabloconą, jak halka nierządnicy, zdołamy się przedostać w jakieś światło, w jakieś jutro.

– Zimno trochę, nie?

Zapach, który powaliłby toreadora przy całej jego odwadze, wytrwałości, gracji. Zapach, który krzyczy: *jestem mężczyzną, tak bardzo męskim, że bardziej już nie można, więc rozłóż nogi, przecież tego chcesz i wszystkie jesteście takie same, wystarczy tylko znaleźć właściwy guzik, non stop otwarte na oścież drzwi, wystarczy stworzyć sytuację i ją wykorzystać, kreować rzeczywistość, wymyślić rzeczywistość, okiełznać rzeczywistość i brać, i brać, i brać...* Poszatkowaną w kawałki nużącą tanią rozkosz mdłą jak ten zapach nadtrawionego wina i jego właściciel, rozmyty wymoczek w aureoli próżności rozsiadający się na ławce, jak na tronie napuchłej samooceny, żenująco niskich potrzeb, zwierzęcych czy raczej ludzkich przyzwyczajęń, rozrośniętych nowotworem na niegdyś żywej tkance.

– Taka ładna dziewczyna sama w parku, to pomyślałem przysiądę się, no nie, dobrze pomyślałem?

Déjà vu, james vu. Zaburzenia pamięci, choroba psychiczna czy neurasteniczne zmęczenie, aż tyle do wyboru. A przecież spójrz, to takie proste. Kognitywne ujęcie świata. Tu jest rzeczywistość, a tutaj model, pomiędzy nimi tylko abstrakcja, na liniach prostych od do eksperymenty, modyfikacja, wnioskowanie. Żadnego połączenia, żadnych wspólnych zbiorów, żadnej wspólnej skóry. Tylko dane empiryczne, porównanie, przewidywanie co zrobi drugi model. Moja noga, żebra ławki, czyjaś ręka. Widzisz jakie to proste? I już ręka jak wąż sunie w moją stronę. Nie zgadzają się role. Cóż, takie czasy. Kto kusi, kto skusił, kto

został skuszony. Na kogo padło na tego bęc. Inna jest scenografia. Brakuje paru rekwizytów. Drzewa, raj, jabłka. Prawdziwe jest tylko wygnanie. Ręka-wąż zatrzymuje się w delikatnym niezdecydowaniu dwa centymetry od mojej do bólu dorosłej nogi, a potem czeka, czając się do skoku, wyczuwając łatwą zdobycz, węsząc w powietrzu świeżą krew drżącymi w nieskrywanym zadowoleniu świńskimi nozdrzami.

– Szkoa tak samemu siedzieć, razem zawsze raźniej, pogadać można, cieplej się zrobi...

I ciach już mnie prawie ma, już mnie dopada. Wyświechtany schemat, archaiczny kod, brzemie dźwigane na naszych barkach od początku świata, od tego błędu *na – początku – było – słowo*, od tego nieporozumienia, które zapisane w naszych głowach, w naszych ciepłych wnętrzach, w różowych wnętrzościach ostrymi pazurami wyrwa się na świat, trochę nas przy tym uszkadzając, wybebeszając, łamiąc, nieodwracalnie zmieniając nasze twarze ospałe jak pszczoły, coraz bardziej z roku na rok. Pragnienie przekroczenia własnej skóry, pokonania ograniczeń niepokonanego, obietnica bycia trochę bardziej *razem*, trochę bardziej *zawsze*, trochę bardziej *potem*. Złudzenie, że dotyk jest prawdziwy, że może jeszcze coś zmienić, złudzenie, z którego boleśnie wyrastasz, tak jak z mamy, taty i Boga, tak jak ze wszystkiego, co kiedyś było niezachwiane, niepodawane w wątpliwość, wieczne. Tęsknota za ciepłem, prastare złudzenie, które w spirali cierpienia przekazujemy dalej i dalej. W małżeńskich węzłach, zszarzałych prześcieradłach, sprężynach łóżek skrzypiących ze zmęczenia, kolejkach po czułość, tramwajach, parkach, na zielonych ławkach, tak, tam też. W skrzeczeniu kaczek, w przykrótkim płaszczu, w czyjejś spoconej dłoni, która już mnie dopada, już mnie prawie ma, sycząc i sycząc jak wąż. Wtedy wstaję.

– Kurwa, jaka niedotykalska się znalazła, księżniczka kurwa jakaś.

A potem wyrzygujesz pijacki potok słów w obojętną twarz ławki, w udeptane grudy obojętnej ziemi, w moje doskonale nieme plecy tak bardzo obojętne. Strumienie słów bez znaczenia, słów wytrychów, słów kluczy, które próbują wskrzesić jakiś inny czas. Słów zakłęcz, zwierzeń, przymuszania Boga, by spełnił swą powinność, by przywiódł swe królestwo *amen*, wierny gościniec rytualnych obrzędów, załzawionych pragnień, kopalni cieknącej soli ukrytej w każdym z nas, słów *mam – ci – coś – ważnego – do – powiedzenia*, błyszczących paciorków mitów nanizanych na mdlącą nitkę jawy, zapomnianej magii urzekającej nas

swym drogocennym pięknem skrzącym się niby bezwiednie w promieniach słońca, w powodzi dnia. *Skąd ja znam te historie...* i *Boże mój, jak ja je dobrze znam...* Powracają wciąż na nowo w kolejnych wariantach, odłamkach, procentach, krzykach. W statystycznych rozkładach smutku przerabianych kolejno na oślepie bez wytchnienia, bez najmniejszej szansy świeżego powietrza. Wszystko gnijące na sekcyjnym stole, przeklute na wylot igłami przeszłości, wypatroszone palcami empirii. Za każdym razem z góry znany wynik. Żalсна wariacja posklejanych szlochów, połamanych paznokci, pogrzebanych serc. Wszystko żywcem. Bez znieczulenia.

– *Jesteś taki samotny.*

– Jestem taki samotny.

*To nie musi tak być.*

To nie musi tak być.

Masz rację, może być całkiem inaczej. Mogę jeszcze odwrócić się i splunąć w to twoje pyszałkowate ociekające głupotą ego, w tą twoją tępą znużeniem pokrytą twarz. W kilometry zwiotczałych mięśni, w przeszkłone źrenice pustki, w białe węzły pachwin. Mogę jeszcze roześmiać się na całe gardło i odbić mój śmiech w małych lustreczkach twojego spojrzenia, co pęka zdumieniem. A potem skoczyć na złamanie karku w lodowatą wodę, w skrzeczenie kaczek, w zziębnięty do nieprzytomności staw. W wełniane płaszcze rozłożystych matron, maszynek do rodzenia dzieci, to całe ich złoto, to cały ich skarb. W wózki popychane mechanicznym ruchem *dalej – dalej – dalej*, w wierzgające larwy dzieci w białych objęciach gryzących czapeczek tulonych do płaszczy trochę z przymusu, trochę z rozpacz, jakby od niechcienia. W szydercze uśmiechy obnażonych metek, który krzyczą z całych sił ile jesteś wart i jak bardzo wierzysz, że wszystko można kupić, że wszystko ma jakąś własną cenę, nawet pod spodem, właściwy guzik, który trzeba znaleźć, by każdy miauczał osobno jak koty. Mogę. Ale co to zmieni. Bo widzisz, nie masz racji. To musi być tak.

Choćbyśmy uzgodnili wszystkie definicje, symbole, spiralne meandry znaczeń i tak nie dojdziemy do tego samego. Oddziela nas niemożność porozumienia. Niemożność bycia kim innym, gdzie indziej. Tylko błądzenie na oślepie. Tylko punkty widzenia. Zawsze tylko *ja jestem tu, ty jesteś tam*. Żadnego pomostu, przestrzeni pomiędzy, czegoś co mogłoby istnieć zamiast abstrakcji, zamiast nazw, zamiast słów choćby przez

chwilę naprawdę. Jakiś Eden, wyłom w murze, jakaś wyspa wytchnienia. Zawsze tylko nasze własne jaźnie, nasze własne skorupy, wnętrza ciasne jak szklane słoje, pęknięte muszle, rozbite naczynia, klatki, w których pozamykani trwamy niczym tresowane zwierzęta siwiejące z roku na rok, czekając na lepszy los. I zrozum, przerabiałam już wszystko. Nienawiść, miłość, palce, pięty, dłonie, w których ukryć możesz twarz, rozgrzane lustro pękających źrenic, przytulne ciepło pogniecionych twarzy pocałunkiem związanych jak pradawnym sznurem, który Bóg rozplącze w swej nieomyślności w rozgrzanym rytmie łóżek, nocy, poranków, przebudzeń, brzuchów, nadgarstków wyciągniętych w najczulszym zdumieniu, obnażonych bezwiednie i lekko jak zęby. Zrozum, przerabiałam to wszystko. Tylko po to by zostać wyplutą, wyrzuconą, wygnaną z raju, tymczasowego tak bardzo, za bardzo, skażonego w zarodku pierwotnym grzechem, przymusem oddzielności, gnijącą płamką rozczarowania, nieodwołalnym wyrokiem, niemożnością porozumienia tak oczywistą, zbyt oczywistą. Bo zrozum. To musi być tak.

Wieczory spędzane w centrach handlowych. Ich kurczowa obecność. Ich astralny pośpiech. Transcendentalne przelewanie się fali ludzkich mrówek w otepiającym krzyku światel od jednej choinki do drugiej, od kanapki plastikowej bardziej niż otulający ją papier do jeszcze innego produktu, który zwabia nas tutaj, jak bezradne ćmy, by sycić nasz głód, głód, mechaniczną jawę schizofrenicznej rozpaczki, której, dobrze wiemy, nie sposób nasycić. Nie sposób zapomnieć. O pracy, której nie lubimy, którą musimy lubić, chwalić, robić. O poczerwieniałej twarzy wrzeszczącego szefa rozsiadającego się tak chętnie na miękkim stołku władzy. O pieniądzach, które musimy zarobić, musimy zdobyć, musimy mieć. Za cenę rodzinnych obiadów, spacerów po parku, wycieczek za miasto, dzieci wywożonych w tygodniu do babci, za cenę braku czasu i *ty – mnie – już – chyba – nie – kochasz*, telewizorów podkręcanych na cały regulator. Pozbawione sensu piekło, któremu oddajemy w jasyr najlepsze lata naszego jedyne go życia. Więc gnamy od jednej choinki do drugiej w rozlanym szpalerze rozświetlonych wystaw, od martwej kanapki, z której budować będziemy nasze tak bardzo samotne ciała do kosza na śmieci, w którym ląduje śliski papier, a w którym my od dawna już jesteśmy. Gdzieś głęboko, na dnie, gdzie nie sposób się dokopać bez dotkliwego pobrudzenia rąk i wyobrażeń na swój temat, której nie-

wzruszonej niepodważalnej czystości tak strasznie, tak strasznie nam trzeba.

Przeszkłone wystawy. Zachęcające witryny. Największy miejski burdel jaki znam. Wszystko na sprzedaż. Co tylko zechcesz. Pluszowy żółw? Wystarczy wejść do środka. Pieniądze w dłoni. Ich szorstki dotyk. A potem nie ma pieniędzy. A jeszcze potem miękkość. Jedwabista miękkość, którą możesz kupić. Pstrokata zieleń. Morskie zwierzę. Żółw. W sklepie obok kaskada zapachów wytryskająca w arterii powietrza wciąganego łapczywie do płuc. Wchodzimy do środka już we dwoje, z morskim zwierzęciem, z żółwiem. Wszędzie wokół małe pudełeczka, płaskie kolory, pękate buteleczki puszczające do nas martwo szklane oko, wołające *kup mnie, kup mnie, kup*. Zaczyna nas mdlić od tego zapachu, od tego wołania, więc w rozpaczliwym odruchu przytulamy się mocniej. Żółw wącha mnie, ja wącham żółwia. Wszystko w porządku. Oddychamy z ulgą. Żadne z nas nie pachnie.

A jeszcze obok następna przeszkłona tafla, która mami nas, jakże nas mami odbitym w próżnię niesfornym spojrzeniem. Zalana światłem pustka, a za nią rzędy manekinów wyniosłe i sztywne w swej równiutko skrojonej doskonałości, milczenie jak spod igły, niewzruszony niczym szyk, jakby już miały to wszystko za sobą, jakby już były dwa metry pod ziemią, w przytulnej czułości głębinowych grobów. Ich spokój przyciąga nas tak bardzo, że chcemy wejść do środka i z nimi pomilczeć, wejść do środka i podać im łaknącą zziębniętą rękę albo żółciutką łapkę, zależy co kto ma. Jak grzyb po deszczu wyrasta przed nami niezdrowo pomarańczowo-żółta, samoopalaczowo-solaryjna twarz o nieprzyjaznym zmiętym spojrzeniu, starannie wydziobanym *to – nic – nie – boli* łuku brwi, wprawną ręką jak co dzień na ranie ust dorobionym grymasie, który zwiastować miał zalotność, przymilność, umizgi, tą całą tandetę, plastikowe piękno. Wypindrzona ekspedientka, z kontenerem różu Irréelle Blush, z kilogramami szminki wprost od Shakespeare'a, z identyfikatorem przypiętym do silikonowej piersi, co krzyczy sopranem „*uwaga zły pies*”. Mała dziewczynka, zagubiona dziewczynka, samotna dziewczynka w wielkim świecie mężczyzn, która przez zęby warczy niczym uwiązane na łańcuchu tresowane zwierzę:

– Tu nie ma nic dla Pani!

I faktycznie. Dla mnie nic tu nie ma.

Bładość do białości rozżarzonych lamp. Bładość skóry. Bładość życia. *Dokąd odpływa krew? Dokąd odpływa ukryta we krwi dusza? Dokąd odpływają wszystkie dusze świata?* Zmierzch połyka mnie przyjaźnie i lekko z delikatnym czułym młaśnięciem nie zadając żadnych pytań. A potem już tylko moje nogi, prawa – lewa, lewa – prawa, nieżywe, zabite, zajęte swoim życiem.

Depresja to nie choroba, to tęsknota za Bogiem. Za jego dotknięciem, za jego dotkliwą obecnością, za czymś co mogłoby istnieć naprawdę, dotknąć nas naprawdę, wydobyć z pozatrząskiwanych muszli rdzewiejących smutkiem ran. I z mojej głowy, z mojej głowy, nabrzmiałej i ciężkiej jak orzech. Tęsknota za życiem, za uczuciem, za sensem. Za jakąkolwiek możliwością porozumienia, która zdołałaby być może wyciągnąć cię na właściwy brzeg.

Psychotyczne pobudzenie, odkrecony kurek myśli, które bzyczą i bzyczą i bzyczą, nie dając żyć, nie dając spać, nie pozwalając mi pozostać w ciszy. Przytulam żółwia. Jest martwy. Nie ogrzeje mnie jego miękki plusz, nie wskrzesi mnie jego zielony brzuszek, spojrzenie jego oczu nie przywróci mnie do życia. Poduszka uwiera, łóżko jest wąskie jak trumna, ciało zwija się w siebie w swym wrodzonym embrionalnym śpiewie, w swym skręconym do wewnątrz smutku, świergocie niezdolnym do płaczu, do krzyku, niezdolnym do zabliznienia ran, które musisz drapać, drapać do krwi, drapać z masochistycznym uporem, z sadystycznym przyzwyczajeniem, z nadzieją na jakiś inny ból, który zdoła być może stłumić ten, z nadzieją na jakiś inny równie bezpański zmierzch, równie beznadziejny świt.

Dzwonienie telefonu rozrywa bębenki ciszy, do góry nogami wywraca poziomy wszechświat, do granic naciąga powieki i ich wewnętrzne ciepło przytulne jak kołderka, kurtyna, która kiedy zechcesz opada lekko w dół tylko czasami skrzypiąc niczym zatrząskiwane wieko. Nieprzytomne myśli na granicy snu, warczenie, buczenie, nieznośnie dotkliwy wrzask, powracający cyklicznie spazmatyczny rejwach. *Mogłabym odebrać... przecież i tak nie śpię... przecież i tak nie zasnę... przecież i tak... czy nie rozumiesz, że zrobiłabym to gdybym tylko mogła?* Telefon warczy i warczy, aż daje za wygraną, zapadając się w ciszę jak wyliniały ze złości pies. Kiedy nie ma już żadnej potrzeby. Kiedy nie ma żadnej nadziei. Kiedy nie ma już nic do zrobienia. *Prawda, że nie ma?*



A potem moja głowa, która ciąży i ciąży. A potem moje ciało, które żyje, które istnieje dużo lepiej, dużo bardziej niż ja, tak bardzo zmarznęte, tak bardzo zmęczone, wydrążone ciężkim piętnem smutku. A potem moja zbyt dorosła noga, która wznieca swe nocne podróże, sunąc na oślep w labiryncie korytarza, pokoju, snu. A potem moja ręka, która wyciąga się w ciemność i mój palec, który z uporem maniaka powraca do swej własnej melodii, powraca do swoich wiernych barw. *Kiedy nie ma nic do zrobienia...* A potem mój głos, który mówi, który milczy, który łka.

– Dzwoniłeś do mnie?

23 XI 2006 r.

BEATA IGIELSKA  
godło: „BEA”

I nagroda w kategorii prozy



*BEATA IGIELSKA urodziła się 12.01.1968 r. w Skwierzynie. Ukończyła polonistykę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dziennikarka „Gazety Lubuskiej”. Debiutowała w 1987 r. Publikowała swoje utwory m.in. w piśmie literacko-artystycznym „Lamus” oraz w lubuskim piśmie literacko-kulturalnym „Pro Libris”. Nagradzana w licznych konkursach literackich m.in. w Międzynarodowym Konkursie Literackim „Przygoda Przychodzi Sama” w Krzeszycach (2003, 2004), jak również w konkursach ogólnopolskich m.in. im. Zdzisława Morawskiego w Gorzowie Wielkopolskim (2005, 2006), „Złote Pióro” w Gubinie (2003), „Ikarowe Strofy” w Warszawie (2005). W roku 2002 otrzymała wyróżnienie w IX edycji Konkursu Literackiego „Krajobrazy Słowa” w Kędzierzynie-Koźlu.*

## KOBIETY Z BLESEN

To nie był dobry rok. Wiosenne przymrozki zniszczyły prawie połowę warzyw w ogrodzie, a potem jakaś zaraza zaatakowała niemal wszystkie drzewa. Uchowała się tylko najmniejsza jabłoń. Jakby chciała udowodnić, że wbrew zdrowemu rozsądkowi i prawom natury, ona właśnie nie podda się chorobie. Zakpiła sobie ze wszystkich, bo na dodatek tak obrodziła, że trzeba było podwiązać jej gałęzie i część owoców zerwać, zanim jeszcze dojrzały. Hanna zrobiła z nich przecier, ale był kwaśny i nikomu nie smakował. Nawet ciasto z nim wyrzuciła do kosza.

A potem wyrzuciła z domu Piotra. Właściwie po cichu spakowała jego rzeczy i wystawiła za próg. Później długo siedziała w kuchni przy stole i widać było, że chciała sobie popłakać. Ale jakoś nie mogła, bo gniew ściszał jej gardło, a ze ściśniętym gardłem nie umiała uronić nawet jednej łzy. Dlatego właśnie nie płakała na pogrzebach bliskich. Była zła na Pana Boga, że za wcześniej zabrał do siebie ciotkę Izabelę i ciotkę Karolinę. O matkę też miała pretensje, więc również nie płakała, co jedni odebrali jako szok, inni jako przejaw obojętności. Dziwiła się, że kobiety w jej rodzinie tak szybko umierają. To znaczy szybciej niż mężczyźni. Wuj Tomasz przeżył swoją żonę o dobre dziesięć lat i umarł spokojnie we śnie. A ciotka Izabela męczyła się prawie dwa lata, zanim rak wyżarł jej wszystkie wnętrzości i na koniec zaatakował mózg. O tę nieestetyczną śmierć Hanna też wkurzyła się na Pana Boga, więc na pogrzebie nie płakała. – Mogłabyś chociaż udawać – szepnęła w kaplicy Ewa. Ale Hanna nigdy nie przejmowała się tym, co mówi kuzynka, więc udawała, że nie słyszy. Miała wtedy ochotę podejść do trumny i wałnąć pięścią w wieko. Żeby pokazać, że nie godzi się na taką cholerną śmierć. Ciotka Izabela zawsze powtarzała, że naiwnie kocha świat i do końca wierzyła, że sprawy kobiece tak długo się goją. Wszyscy jej to wymawiali, więc w końcu uwierzyła. Wierzyła nawet wówczas, gdy

przez przypadek podsłuchała, co lekarz mówił na korytarzu wujowi. – To kwestia tygodni. Tak mówił, prawda? – pytała. – Mówił, że tyle potrwa, zanim dojdiesz do siebie. Myślisz, że mógłbym cię okłamać? – odpowiadał z uporem maniaka wuj Tomasz. Więc ciotka umarła w męczarniach, przekonana, że tak właśnie być musi. Że dochodzi do siebie, ale bardzo powoli.

Hanna nie kochała świata tak naiwnie, jak ciotka. I nie umiała dojść do siebie, gdy Piotr opowiedział jej o tej kobiecie. O tamtej – poprawiała się w myślach. – Tą kobietą powinnam być ja, a ona tamtą – tłumaczyła sobie całą noc. Udawała, że śpi, gdy na palcach szykował sobie śniadanie i starał się nie hałasować. Naprawdę chyba jednak chciał ją obudzić, bo przecież nigdy nie jadł śniadania w domu. Gdy wyszedł, nie mogła wstać z łóżka. – To sen. Zaraz się obudzę i przekonam się, że to mi się tylko śniło – powtarzała w myślach tak długo, aż rzeczywiście zasnęła. Ale przyśnił jej się nie Piotr, tylko wuj Józef, który niecały rok po śmierci ciotki Karoliny zakochał się w pulchnej sąsiadce. Wszystkich to wtedy rozzłościło, ale tylko Hanna zdobyła się na powiedzenie mu, co myśli na ten temat. – Jesteś gówniara, nie znasz życia i nie będę z tobą gadał – uciął wtedy wuj i zatrzasnął jej drzwi przed nosem. To chyba właśnie trzask tych zamykanych z impetem drzwi obudził Hannę na dobre. I wtedy zrozumiała, że wczorajsza rozmowa z Piotrem to nie był sen. I że ta, to jest tamta, kobieta naprawdę istnieje. I choć Piotr zapewniał, że nic go już z nią nie łączy, że musiał wszystko wyznać, bo nie może tak dłużej żyć, czuła obecność tamtej w całym domu. Co prawda Piotr zarzekał się, że nigdy jej tu nie przywiózł, ale Hanna miała wrażenie, że wszystko pachnie jakoś inaczej. Dlatego gdy tylko wyprawiła Mariannę do szkoły, wyszorowała wszystkie podłogi, wytarła kurze i wrzuciła firany do pralki. A potem spakowała Piotra rzeczy i wystawiła je za drzwi. Wiedziała, że to dziecinny gest, że on i tak tu wejdzie i będzie chciał z nią rozmawiać, ale gdy w domu nie było żadnej części jego garderoby, poczuła się znacznie lepiej. Zostały, co prawda, książki i mnóstwo innych szpargałów, ale to nie drażniło jej, tak jak widok wyprasowanych koszul w szafie czy skarpetek skotłowanych w szufladzie. Nawet z kosza na brudną bieliznę wyjęła jego rzeczy i wrzuciła do oddzielnej torby.

Potem usiadła w kuchni przy stole i chciała sobie popłakać. Ale poczuła, jak wzbiera się w niej gniew i już wiedziała, że nie uroni nawet

jednej łyż. Wyjęła z kredensu srebrną cukierniczkę i zaczęła ją machinalnie polerować. – To nie był dobry rok – powiedziała. I przeraziła się, bo nigdy nie mówiła do siebie.

\* \* \*

Maria Szarzyńska nie miała łatwego życia. Ale jako jedyna kobieta w rodzinie Hanny przeżyła swojego męża. I to ponad dwadzieścia lat. Dziadek Hanny wjechał po pijanemu do rzeki i gdyby rower go nie przydusił, to pewnie jakoś doczłapałby się do domu. A tak utonął w wodzie, która nie sięgała mu nawet kolan. Hanna nigdy go nie poznała, bo gdy on łapał ostatnie hausty powietrza, ona właśnie przeciskała się na ten świat w wiejskiej porodówce. Gdy tylko matce odeszły wody, babcia Maria pobiegła do sołtysa dzwonić do doktora. A dziadek Antoni wsiadł na swój rozklekotany rower i pojechał do knajpy obławiać narodziny wnuczki. Hanna przyszła na świat pierwszego kwietnia i tego samego dnia wróciła z matką do domu, bo poród nie był długi i ciężki, i nie było potrzeby wieźć ich do szpitala w miasteczku. Trzeciego kwietnia babcia Maria pochowała męża. Stypę połączono z chrzciami, żeby było taniej i wygodniej. Na pogrzeb dziadka przyjechał jego najmłodszy brat z Warszawy i od razu został chrzestnym Hanny. Pod becik włożył kopertę z pieniędzmi i obiecał przysyłać prezenty. Ale potem nie dał nawet znaku życia, więc jego – tak jak dziadka – Hanna też nigdy nie poznała. – Nie ma się co martwić. Skoro urodziła się w prima aprilis, to będzie miała wesołe i pogodne życie – mówiła babcia Maria. – Żeby tylko to życie nie spletało jej w końcu jakiegoś figla – rzuciła kiedyś matka. Babcia Maria kazała jej się zamknąć i przestać pierdolić głupoty. Hanna miała wtedy dziesięć lat i to był jedyny raz, kiedy usłyszała z ust babci brzydkie słowo.

Zaraz potem matka wyszła, a babcia otworzyła kredens i zaczęła polerować cukierniczkę.

\* \* \*

Kobiety w tym domu nie miały łatwego życia. I te polskie, i te niemieckie rodziły się zbyt dobre jak na czasy, w których przyszło im żyć. Chociaż tak naprawdę nigdy nie wiadomo, które czasy są dobre do życia, bo życie lubi płać różne figle i to nie tylko tym urodzonym pierwszego kwietnia. Na szczęście kobiety z tego domu przychodziły na

świat szybko i w miarę bezboleśnie. I potem tak samo rodziły. Zwykle córki, choć ich mężowie czekali na synów. Wyjątkiem była Berta Kuntze, która najpierw dała Jurgenowi dorodnego chłopaka, by móc potem bez nerwowego oczekiwania rodzić dziewczynę. Tylko że Peter zginął na wojnie, a Berta uciekając z córkami przed Sowietami, nawet nie zdążyła zabrać jego zdjęcia. Nie wzięła też cukierniczki, którą dostała w prezencie od męża. Srebro wciąż lśniło, bo używane tylko od święta, było systematycznie czyszczone przez uśmiechającą się do życia Bertę. Ona jednak nie polerowała naczyń w chwilach zdenerwowania. Ale też nie miała powodów do żałoby. Do czasu, gdy dowiedziała się w 1937 roku, że jej mały Peter nie jest już chłopcem, tylko siedemnastoletnim mężczyzną i musi spełnić obowiązek wobec Rzeszy. Peter wyjechał z domu, do którego już nigdy nie wrócił, a ona nie zabrała ani zdjęcia, ani listów, które pisał jeszcze przez dwa lata, zanim nagle przestał, ani żadnej innej pamiątki po pierworodnym. Nie zabrała też cukierniczki, choć Jurgen podarował jej ją w pierwszą rocznicę ślubu. – Żadna sąsiadka takiej nie ma. Kupiłem w Schwerin, w sklepie starego Bubera – powiedział z dumą. A Berta poczuła, jak mały Peter rozpycha się w jej brzuchu, który wkrótce zaczął przypominać bęben.

Siedemnaście lat później stary Buber zamknął swój kolonialny sklep i wyjechał z rodziną do Ameryki. Zaraz potem w Schwerin w nocy popytało się szkło ze wszystkich żydowskich sklepów, chociaż nie było ich tam wiele, bo nie tylko Buber miał złe przeczucia i powędrował za ocean. Ci, którzy zostali, powędrowali do gazu. I Berta już nigdy ich nie zobaczyła. Śnił jej się tylko czasami. Tak jak śnił jej się wychodzący z domu Peter. I Jurgen, który długo nie wracał z pola. Na wozie przywieźli go sąsiedzi i nikt nigdy nie dowiedział się, czemu serce najsilniejszego w Belsen gospodarza nagle przestało bić w środku żniw.

\* \* \*

Elżbieta Janicka też nie miała łatwego życia, ale nie namieszkała się wiele w tym domu. Gdy urodziła Hannę, jej równie młody mąż był akurat w wojsku. Wrócił stamtąd, ale do zupełnie innej kobiety. Bo z jednostki w Poznaniu miał do Bledzewa ponad sto kilometrów, a przepustki dostawał tylko na jeden dzień. Na Rynek Jeżycki do poznanej na zabawie Krystyny było więc znacznie bliżej i szybciej. Najpierw Krystyna miała być tylko przygodą, potem stała się wyrzutem sumienia, i to znacz-

nie cięższym niż ciężarna żona, aż wreszcie ojciec Hanny odkrył, że to miłość. A miłość nie wybiera, o czym Hanna też przekonała się bardzo szybko.

Zanim jednak do tego doszło, matka wyprowadziła się do Gorzowa, by nie patrzeć już na tę cholerną dziurę, w której wszyscy o wszystkich wiedzą wszystko. Lub tak im się wydaje. Hanna przyjeżdżała do babci na wakacje i jeśli nie biegła gdzieś z dziewczynami z sąsiedztwa, to albo przesiadywała z książką w kuchni, albo pomagała w ogrodzie coraz bardziej przygarbionej Marii. Nie mogła zrozumieć, po co babcia hoduje tyle roślin. Kwiaty, choć piękne, w końcu i tak przekwitały albo marniały, a słoiki z przetworami najpierw wędrowały na strych i do piwnicy, a potem do różnych córek, kuzynek, wnuczek i sąsiadek.

Hanna miała piętnaście lat, gdy miłość spadła na nią jak grom z jasnego nieba. W tym samym czasie w brunecie z Międzyzdrojów zakochała się jej matka. Ale to nie było to samo, bo matka zakochiwała się średnio raz do roku i jeszcze dodatkowo na wczasach. Brunet był spoza limitu i po wakacjach już się do matki nie odezwał. A Michał był pierwszy i pisał potem do Hanny długie, romantyczne listy. Tak jak Hanna przyjechał do babci na wakacje. Tylko że nie pomagał w niczym starej Wilkowej i włóczył się smętnie po okolicy z miejscowymi chłopakami. Aż kiedyś wszedł do kuchni, w której Hanna czytała „Zapałkę na zakręcie”.

– Babka przysłała mnie po... Cholera, nie majeranek, tylko ten... Jakoś tak podobnie...

– Może rumianek?

– Nie, inaczej...

– Tymianek?

– Nie... Takie coś na reumatyzm...

– Babcia Maria jest w ogrodzie...

Hanna zawsze dodawała do babci tę Marię, choć innej babci nie miała. Dziadków ze strony ojca nigdy nie poznała, bo mieszkali gdzieś pod Koninem i szybko dorobili się nowych wnuków od Krystyny z Poznania. Ale babcia Maria brzmiała jakoś tak szlachetnie, a Hanna wiedziała, że babcia nie była z chłopów tylko z dziedziców. Co z tego, że po domu w Podhorcach zostały tylko wspomnienia? Babcia Maria potrafiła tak pięknie opowiadać o salonach z kominkami i obrazami, o kuligach, balach, długich sukniach, rękawiczkach i etolach... Hanna nawet nie śmiała przerywać, więc dopiero po powrocie z wakacji dowie-

działa się z encyklopedii, że etola to nie naszyjnik tylko futerko. – Musisz mi obiecać, że kiedyś tam pojedziesz i znajdziesz ten dom. Albo to co po nim zostało... – babcia Maria każdą opowieść kończyła tak samo. A Hanna niezmiennie obiecała, że pojedzie. Gdy już będzie duża i wprowadzi się od matki. Na pewno...

\* \* \*

Michał przyszedł wtedy po rozmaryn. W całej wsi tylko babcia Maria umiała go wyhodować. I choć sama nie narzekała na ból stawów, wołała być przygotowana na starość. – Bo ona przyjdzie wcześniej czy później. A jak już przyjdzie, to z gościem – tłumaczyła Hannie po wizycie Michała. Hanna nie wiedziała wtedy, co znaczy gościec, więc myślała, że chodzi o jakiegoś gościa. Wydawało jej się to bardzo tajemnicze i piękne. Taki gość, co przychodzi ze starością. Może to samotność? Albo coś, co zamieszkuje w środku człowieka i zaczyna przypominać mu o przeszłości? Taki gość, co pielęgnuje wspomnienia? Gdy sięgnęła po powrocie do domu do encyklopedii, poczuła się rozczarowana. I głupia.

Tak samo poczuła się rok później, gdy zobaczyła Michała idącego za rękę z Kaśką, od Korbalów. Kaśka miała trądzik i krzywe nogi. Chwaliła się też, że chociaż w życiu nie przeczytała żadnej książki, to i tak ma trójkę z polskiego. Ale miała czym oddychać i nie kryła się z tym w żaden sposób. Gdy matka Hanny zmniejszała na jej potrzeby swój stanik, bo w żadnym sklepie nie było zerówek, stara Korbalowa załamywała ręce, że córce znów cycki urosły i trza będzie kupić nowy biustonosz. Gdy któregoś dnia Kaśka oznajmiła, że w szóstce to już się nie mieści, bo wszystko jej się wrzyna, Korbalowa machnęła ręką i poszła dać świniom. Od tej pory Kaśka przestała nosić biustonosz i stała się obiektem pożądania wszystkich okolicznych chłopaków. Bezwstydnie chwaliła się, że nawet żonate chłopy się za nią oglądają i nakładają coraz bardziej wydekoltowane i kuse bluzki. – To tłusta krowa. Ma wymiona, a nie piersi. A na gębie same wypryski! – pocieszały Hannę koleżanki. Też były złe na Kaśkę, ale to nie do nich Michał pisał cały rok romantyczne listy. I nie one tak bardzo czekały na kolejne wakacyjne spotkanie.

Gdy Hanna weszła do kuchni zapłakana, babcia Maria o nic nie pytała. Postawiła przed nią kubek z sokiem z malin, pogłaskała po głowie



i wyjęła z kredensu srebrną cukierniczkę. Najpierw sama polerowała ją niebieską szmatką, potem wręczyła wnuczce. – To naprawdę pomaga – szepnęła. Hanna nie wierzyła, ale nie chciała robić babci przykrości, tego wieczoru zasnęła z niebieską szmatką w dłoni. Cukierniczka ześlizgnęła się z łóżka i dopiero rano babcia Maria wstawiła ją do kredensu.

\* \* \*

Tego lata Hanna przeczytała wszystkie książki z wiejskiej biblioteki. Upał był niemiłosierny, więc całe dnie spędzała z babcią Marią w kuchni albo w pokoju od podwórka. Dopiero wieczorem wychodziły do ogrodu, skąd wracały już po zmroku. Hanna polubiła grzebanie w ziemi i chłonęła każde babcine słowo. – Zioła z apteki nie są wiele warte. Na pewno lepsze niż ten susz z geesowskiego sklepu, ale naprawdę i tak nie leczą. Nawet inaczej pachną... – mówiła babcia Maria. Była dumna z rozmarynu, po który kobiety przyjeżdżały do niej nawet z innych wsi. Hanna nie znosiła jednak tego ziela i w myślach nazywała je pasukudnym zielskiem. – Ależ to lato gorące... Nawet jak dla dziewczyny za dużo tego słońca. Trzeba zrywać tylko płatki i to delikatnie. O tak, widzisz? Kusińska mówi na dziewczannę dziewczyna, ale dziewczanna przecież brzmi ładniej. Jak ją wysuszymy, będzie pachniała miodem. A ty przecież lubisz miód, Hania... – cichy głos babci mieszał się czasami z brzęczeniem owadów i szczekaniem psów sąsiada.

Hanna nawet nie zauważyła, kiedy pokochała zapach ziemi i przestała brzydzić się mieszkających w niej robaków. Polubiła też zmęczenie, które błogo rozchodziło się po całym ciele, gdy kładła się do łóżka. Na początku bardzo bolały ją plecy i łydki, ale wtedy zasypiała skulona w kłębek i ból przechodził. Rano często wygrzebywała spod paznokci resztki ziemi i starała się choć raz w tygodniu wstać wcześniej od babci, by zrobić śniadanie. Była pewna, że babcia Maria i tak nie śpi, tylko udaje, by zrobić jej przyjemność, ale nigdy się z tym nie zdradziła.

Popołudniami babcia ucinała sobie drzemkę, a Hanna przyglądała się jej zmarszczkom i siwym włosom. Albo wyjmowała z szafy album ze zdjęciami i zastanawiała się, czy naprawdę jest tak podobna do tej dawnej babci Marii, jak mówili ludzie we wsi. Czasami wchodziła po skrzypiących schodach na strych i wyglądała przez zakurzone okienko. Lubiała też zanurzać dłonie w workach z fasolą. Nasiona zawsze były

chłodne i gładkie, a gdy natrafiała na jakiegoś nieudacznika, oglądała go ze wszystkich stron i odkładała na bok. Zawsze wtedy przypominała jej się baśń o Kopciuszku.

Dziwiła się, że wcale się nie nudzi i nie miała ochoty na spotkania z rówieśnikami. Najpierw bała się, że wychodząc z domu, znów wpadnie gdzieś na Michała i wiszącą na jego ramieniu przyszczatą Kaśkę. Później zaczęło ją męczyć paplanie koleżanek. – Jakby ktoś po mnie przychodził, to jestem chora albo śpię – uprzedzała babcię Marię, gdy zza okien dobiegały kroki albo śmiech. A babcia nigdy o nic nie pytała, tylko z anielskim uśmiechem informowała Aśkę i Jolkę, że Hani chyba znów coś zaszkoziło i leży w stołowym.

\* \* \*

To były jedne z najpiękniejszych wakacji w życiu Hanny. W sierpniu zrywała z babcią Marią maliny i pomagała jej robić sok i konfitury. – Jutro ususzemy malinowe liście. Niby żołądek mam dobry, ale nigdy nic nie wiadomo... – głos babci wydawał się coraz młodszy i cieplejszy, a Hanna ze zdziwieniem odkrywała, że Michał coraz mniej ją obchodzi. Że właściwie to on jej się chyba tylko przyśnił. A może nigdy go nie było...

Dopiero po latach Hanna zrozumiała, że udało jej się wówczas odzyskać wewnętrzną równowagę. Niektórzy nazywają to ukojeniem albo spokojem duszy. I to są chyba ładniejsze nazwy. Byłoby na pewno jeszcze piękniej, gdyby matka nie przyjechała wtedy po Hannę wcześniej niż zapowiadała. – Jak to ani razu nie byłaś nad wodą? To co robiłaś przez te dwa miesiące? Czy mama oszalała? Trzymać ją tyle czasu w domu albo w ogrodzie jak jakiegoś psa? Ja się zabiję! To po to przywożę ją na wieś, żeby nawet wiejskiego powietrza nie powąchała? – matka była wściekła i nie panowała nad sobą. Babcia Maria nic nie mówiła, tylko spokojnie kroiłła dynię. Gdy matka wreszcie przestała biegać wokół stołu i opadła na krzesło, babcia kazała Hannie pójść do ogrodu po marchew. Hanna nie spieszyła się z wrywaniem, bo wiedziała, że to tylko pretekst. Gdy wróciła po półgodzinie, matki już nie było. Babcia zamykała właśnie drzwiczki kredensu i chowała do szuflady niebieską ściereczkę. – Przyjedzie po ciebie za tydzień. Tak jak ustaliłyśmy przed wakacjami. A z marchwi zrobimy sok. Bo marchew jest dobra na wszystko. A ty przecież lubisz marchew, Hania...

\* \* \*

Hanna nigdy nie dowiedziała się, co zaszło wtedy między matką a babcią Marią. Sześć lat później babcia bardzo się rozchorowała i nie pomogły jej ani zioła z ogrodu, ani lekarstwa z apteki. Potem nie pomagały już nawet zastrzyki z morfiny. – Nie może mama mieszkać tu sama. Załatwiliśmy miejsce w klinice w Poznaniu – mówiła ciotka Karolina. A ciotka Izabela i matka jej przytakiwały. Ale babcia Maria nie dała się przekonać.

Hanna wzięła wtedy dziekanę i przyjechała do Bledzewa. – Źle robisz. Nie jesteś lekarzem ani pielęgniarką. Ona powinna pójść do szpitala – powtarzała matka. Ale Hanna nie posłuchała. Zastrzyki przychodziła robić Jolka od Kusińskich. Ta sama, która kiedyś też nie lubiła Kaśki od Korbałów. Jolka nazywała się teraz Krzyżańska i miała dwójkę małych dzieci, więc wpadała i wypadała jak burza. – I jak? Trzymasz się? – pytała za każdym razem tak samo. – W porządku – odpowiadała Hanna, chociaż wcale się nie trzymała. Najbardziej bała się nocy i często zasypiała w fotelu. Budziła się potem zdrętwiała i przenosiła się na kanapę. Nasłuchiwała niespokojnego oddechu babci Marii i wciąż wydawało się jej, że przestaje go słyszeć, więc wyskakiwała z łóżka i z lękiem nachylała się nad staruszką. Nie mogła zrozumieć, czemu Pan Bóg nie zaplanował babci Marii innego końca. To, co się działo, było przecież takie niesprawiedliwe... Gdy któregoś dnia poszła pogadać o tym z proboszczem, usłyszała, że bluźni i powinna iść do spowiedzi. Ale zamiast do konfesjonatu, poszła do domu. Chciała wtedy trzasnąć drzwiami kościoła, ale były zbyt masywne i ciężkie, więc tylko walnęła w nie pięścią.

I to był pierwszy raz, kiedy Hanna wkurzyła się na Pana Boga. Dwa lata później wkurzyła się po raz drugi, gdy Bóg nie oszczędził ciotki Izabeli. Ciotka Karolina załatwiła jej miejsce w poznańskiej klinice, ale nie pomogły ani operacje, ani drogie leki, bo gdy jeden rak kończył swoje dzieło w ciele babci Marii, drugi raczył się wnętrznościami ciotki Izabeli.

Hanna przeraziła się wtedy, że i ją to czeka. Piotr uspokajał, że nowotwór nie jest dziedziczny ani zaraźliwy, a on w końcu właśnie skończył medycynę, więc na pewno wie lepiej niż studentka germanistyki. Ale te argumenty nie przekonywały Hanny. Nie przekonały jej również wyini-

ki badań, które zrobiła w kilku różnych miejscach. Uspokoila się dopiero gdy kolejne dwa lata później ciotka Karolina zmarła na serce. Potem miała wyrzuty sumienia, że w czyjeś śmierci znajduje takie kretyńskie pocieszenie. I znów miała pretensje do Pana Boga, bo ciotka zmarła nagle i nawet się nie dowiedziała, że ma chore serce. Trzeba było sekcji zwłok, by okazało się, że od dawna powinna była się leczyć. Tylko że wtedy ta wiedza do niczego nie mogła już się przydać. Hanna zbadała jednak sobie wówczas serce, zwłaszcza że wydawało jej się, że jest w ciąży. Ale jeden i drugi alarm okazał się fałszywy.

Kolejne dwa lata później matka zginęła w wypadku samochodowym, gdy wracała z wczasów znad morza. Hanna nie miała wtedy po co robić sobie badań, ale opóźniał jej się okres, więc poszła do apteki po test ciążowy. Potem kupiła jeszcze dwa inne testy, żeby się upewnić. I wtedy przeraziła się, że teraz to dopiero Bóg sobie na niej poużywa za to wcześniejsze obrażanie się. Ale miała Marianna, choć urodziła się przed terminem, nigdy nie miała nawet kataru. – Ty to w ogóle nie odczuwasz, czym tak naprawdę jest macierzyństwo – mówiła Ewa, córka ciotki Karoliny, której mała do trzeciego roku życia nie przespała ani jednej nocy i wciąż łapała jakieś infekcje. Ale Hanna nigdy nie przejmowała się tym, co mówi kuzynka, więc udawała, że nie słyszy.

Dwa lata po wypadku matki Hanna czekała na kolejną śmierć w rodzinie i zastanawiała się, na którą z kobiet przejdzie teraz pora. Ale nic się nie stało, więc pomyślała, że widocznie już starczy. Na każdy wieczorny telefon reagowała jednak jak oparzona, aż w końcu Piotr obdzwonił całą rodzinę i wszystkich znajomych i zabronił im dzwonić po dwudziestej i przysyłać telegramy z życzeniami. Namawiał nawet żonę, by zaczęła brać jakieś leki uspokajające, ale Hanna wzruszała tylko ramionami albo udawała, że nie słyszy. Tak samo reagowała, gdy mąż pytał, dlaczego poleruje cukierniczkę, skoro i tak nikomu nie wolno jej używać. Potem przestał pytać, bo Hanna całe dni spędzała z małą Marianną i mówiła, że nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa. Cukierniczka przez kilka lat zdążyła pokryć się ciemnym nalotem, a Hanna nawet nie zauważyła braku niebieskiej szmatki, którą mała Marianna wyjęła kiedyś z szuflady i wcisnęła za kredens...

\* \* \*

– To nie był dobry rok – powtórzyła Hanna, ale tym razem nie przerażała się, że mówi sama do siebie. Odstawiła do kredensu lśniąca cukierniczkę i czekała aż Marianna wróci ze szkoły. W tym czasie zadzwoniła do biura podróży i z ulgą przyjęła wiadomość, że dla dzieci, owszem, są zniżki, ale najbliższy termin wyjazdu na Kresy wypada już za dziesięć dni. – Nawet pani nie wie, jak to się dobrze składa – powiedziała na pożegnanie Hanna. Potem zaczęła się zastanawiać, co powie wychowawczyni Marianny. Dlaczego pod koniec września nagle funduje dziecku wycieczkę do Podhorców, do których sama nie mogła wybrać się przez tyle lat.

– Musisz mi obiecać, że kiedyś tam pojedziesz i znajdziesz ten dom. Albo to co po nim zostało... – dźwięczały jej w uszach słowa babci Marii. Tyle razy wyobrażała sobie wtedy piękny dworek z białymi kolumnami i mnóstwem okien... Teraz doskonale wiedziała, że może zobaczyć tam najwyżej resztki dawnej świetności z babcinych wspomnień, jeśli w ogóle coś zobaczy na miejscu, w którym stał dom Marii i Antoniego Szarzyńskich. Wiedziała jednak również, że to najodpowiedniejsza pora na wyjazd. Po powrocie zdąży akurat doprowadzić do porządku ogród, a przed wyjazdem uda się jeszcze powiązać czosnek, zrobić nalewkę i konfitury z dzikiej róży i sok z czarnego bzu. Marianna co prawda nigdy nie chorowała, ale Hanna wolała być przygotowana na każdą okoliczność. Piotr nie mógł zrozumieć, po co żona hoduje w ogrodzie tyle roślin. Kwiaty i tak przecież usychały albo przekwitały, a słoiki i butelki z przetworami najpierw wędrowały na strych i do piwnicy, a potem do różnych ciotek, kuzynek, sąsiadek...

\* \* \*

Kobiety w tym domu nie miały łatwego życia. Rodziły się zbyt dobre jak na czasy, w których przyszło im żyć. Chociaż tak naprawdę nigdy nie wiadomo, które czasy są dobre do życia. Bo życie lubi płać różne figle i to nie tylko tym urodzonym 1 kwietnia...

Gdy Hanna jedną ręką przytulała w autokarze śpiącą Mariannę, a drugą ścisnęła zawiniętą w niebieską szmatkę cukierniczkę, w Mannheim Erica Reicher kończyła czytać pamiętnik zmarłej przed dziesięcioma laty prababki. – Musisz mi obiecać, że kiedyś tam pojedziesz i znajdziesz ten dom. Albo to, co po nim zostało... – napisała w ostatnich słowach Berta Kuntze.

WIĘNCZYŚLAW POLACZEK  
godło: „aloes”

II nagroda w kategorii prozy



*WIĘNCZYŚLAW POLACZEK urodził się w 1965 r. Mieszka w Tarnowie. Autor wierszy i opowiadań. Debiutował w 1988 r. opowiadaniem na łamach czasopisma „Student”. Publikował w: „Akancie”, „Kwartalniku Literacko-Artystycznym” oraz „Wyrzaczach”.*

*W roku 1998 nakładem KKAL ukazała się jego książka „W obronie grodu”. W roku 2000 miesięcznik „Akant” opublikował w odcinkach tragifarsę „Żożo”. Podczas Festiwalu Sztuk Odważnych w Radomiu w 2001 r. odbyła się próba czytania wybranej sceny z jego sztuki pt. „Selekcja”. Stypendysta Agencji Scenariuszowej. W czerwcu 2002 r. wyróżniony przez Ministra Kultury odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”.*

## LEKCJA ŻYCIA, MIŁOŚCI I ŚMIERCI

Szarzało, gdy z odrapanej klatki schodowej wyłoniła się zakapturzona postać. Fuknęła: – Ptfu! – i na chodnik spadła przeżuta guma.

– Jureczku! – w oknie na piętrze ukazała się puciołowata twarz staruszki, okolona burzą siwych włosów. – Jureczku, zapomniałeś śniadania – skierowała w dół foliowy worek z kanapkami.

Chłopak niezdarnie chwycił przesyłkę. Spadł mu kaptur. W lewym uchu wnuka oczom babci objawił się krzyżyk.

– Znowu założyłeś to paskudztwo... – pomstowała, ale wnuk zarzucawszy z powrotem kaptur, czym prędzej ruszył w długą. Ale obciach pomyślał. Za rogiem zatrzymał się i rozejrzał. Nikt na niego nie patrzył. Podskoczył wysoko, jak utytułowany zawodnik NBA i ze złością cisnął śniadanie do kosza na śmieci.

– Dałaby lepiej parę setek, a nie kanapki z serkiem – mruzczał. Nałożył słuchawki, włączył dyskmena; wreszcie poczuł się w swoim żywiole. Zajebiste łubudu, omal nie rozrywało mu bębenków. Szedł, kołysząc się w rytm muzyki techno. Otwierał i zamykał oczy, jak automat.

Po kilkunastu minutach dotarł przed biało-żółty dwupiętrowy budynek Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, zaludniony samotnymi i zniedołężniałymi. Tu udało mu się znaleźć pracę miesiąc temu. Był tu za salowego. Przynieś, wynieś, pozamiataj. Na szczęście do krzyżyka w lewym uchu nikt się tutaj nie przyczepiał. Ten krzyżyk, to było dla niego takie logo wolności – tak sobie wykombinował.

Wchodząc do budynku wiedział, co go zaraz czeka: mycie zgrzybiałych ciał i wysłuchiwanie żalów. Dobrze, że mam długie włosy, pod którymi sprytnie chowam słuchawki od dyskmena. Gdyby nie muza, w pierwszym dniu dostałbym świra – pomyślał.

– Dzień dobry pani – uśmiechnął się do kierowniczk. Nie musiał wysilać się na grzeczność. Podobała mu się. Średniego wzrostu, blondyna

o wyrazistych ustach, mocnym spojrzeniu i kształtach, których pozazdrościłaby sama Wenus z Milo. – Och, pobyć z nią tak sam na sam z godzinę – marzył.

– Znowu się pan spóźnił, panie Jurku – ułożyła długopis na zmysłowych wargach.

– Rzeczywiście – spojrzął na zegarek. – Dokładnie trzy minuty. Przepraszam. Babcia mnie zatrzymała.

– Pan już powinien być na sali. Siostra Urszula nie poradzi sobie sama.

Przebrał się migiem. Niestety, zapomniał zabrać dyskmena. Przeczesał włosy dłonią, przybrał na twarz chłodną minę i wniknął do sali numer jeden.

Siostra Urszula już działała: – Proszę się umyć. Tylko dokładnie, moje panie – położyła miski na dwóch łózkach, wręczając każdej staruszce po gąbce.

– Ale ja nie mogę się ruszyć – narzekała pani Jadzia, obłożnie chora; od dziesięciu lat sparaliżowana po wylewie. Mimo to, każdego ranka siostra Urszula wręczała jej gąbkę i kazała myć się. Cóż, cuda się zdarzają i może pewnego dnia, pani Jadzia zacznie robić użytek ze swoich rąk.

– Jureczek pani pomoże – powiedziała siostra Urszula.

– To może i mnie – poprosiła 91-letnia pani Gertruda, emerytowana nauczycielka.

– Radź sobie – skwitowała siostra Urszula i podreptała na dwójkę.

Jureczek zanurzył gąbkę w ciepłej wodzie. Pani Jadzia odchyliła prawy policzek. Przesuwał gąbką delikatnie po twarzy, szyi, dłoniach. Już miał zabrać miskę, by odejść, gdy nagle zatrzymała go, mówiąc: – Nie skończył pan.

Uniósł nocną koszulę. Przetarł gąbką podbrzusze, uda, podudzia i stopy. Zmienił pampersa, przykrył panią Jadzię kocem.

Z panią Gertrudą szło mu oporniej. Musiał z nią rozmawiać.

– Nie ogoliłeś się, kawalerze – powiedziała, gładząc go po szczeniastej cerze. – To i pewnie na randkę się nie wybierasz... A masz już jakąś dziewczynę? Hm?

– Nie w głowie mi laski – odparł zaczepnie.

– O, ho, ho, słyszała pani, panie Jadziu, co on wygaduje? Już ja wiem co ci chodzi po głowie. Kosmate myśli!

– Śpieszę się, muszę jeszcze obskoczyć pięć sal.



– Do młodszych go ciągnie, pani Jadziu – śmiała się. – Tam są młódki, panie o trzy dekady młodsze ode mnie. He, He, o, jak się kawalerowi buzia zarumieniła.

– Niech sobie chłopiec popatrzy jak wygląda kobieta – spuentowała pani Jadzia.

Pani Gertruda bez skrępowania rozchyliła uda. Jureczek, patrząc w okno, przesuwał gąbkę z dołu do góry.

– Nie tak – zaprotestowała. – Z góry na dół, tak jak cię uczyła siostra Urszula.

– Udaje, że go nie interesuje, co ma kobieta między nogami – żartowała pani Jadzia.

– Niby płóche to to, ale gdybyśmy miały po dwadzieścia lat, o, ho, ho, pani Jadziu – zaśmiała się radośnie. – Słyszała pani o tym pielęgniarzu, który zrobił dziecko pacjentce pogrążonej w śpiączce?

– Nasz Jureczek taki nie jest – broniła chłopaka pani Jadzia.

– Skończyłem – oznajmił oschle i stanął jak kołek.

– Już skończył, słyszała pani? Pani Jadziu? – śmiała się. – Co tak szybko?

\*

W pakamerze założył słuchawki, wsunął za pasek dyskmena. Spokojnie, na luzie wypalił papierosa. Gapił się przez okno na dwóch salowych motających się z jakimś staruszkim samodzielnie próbującym wstać z wózka.

– Nowy, a już się stawia – pomyślał. – Jeszcze nie wie, co go tu czeka. Podpadł Arkowi i Pawełkowi, pewnie wieczorem, gdy kierowniczką pójdzie do domu, dadzą mu wycisk.

– Jurek, chodź no tu. Pomożesz – skinał Pawełek.

– Nie dajecie rady? – jakoś nie palił się do pomocy.

– Nie widzisz, jak się ciska? Żona wyrzuciła go do domu pomocy, a ten protestuje. Spoko, dziadku – ścisnął go mocno Arek.

Dziadek, szczupły, wysoki mężczyzna, około siedemdziesiątki, nagle wyprężył się i samodzielnie przeszedł do holu. Salowi z zadowoleniem kopnęła pusty wózek. Proste sposoby po raz kolejny okazały się najskuteczniejsze.

Na korytarzu zapachniało perfumami. Kierowniczką zaskoczyła Jureczka na paleniu. Przystanęła, wyginając lekko posągowe biodra. Pobu-

dzające wyobraźnię obfite piersi zatańczyły ledwie o metr od zafascynowanego nimi chłopaka.

– Jeśli będzie się pan objął, nie przedłużę panu umowy – powiedziała z chłodną ironią. Odeszła stukając pantoflami na wysokim obcasie. Choć jej już tu nie było, Jureczek pozostał jeszcze chwilę, chłonąc zapach perfum. Za kilka lat takie same kupi swojej żonie w pierwszą rocznicę ślubu.

\*

Nowy nabytek domu pomocy siedział w kącie z miną myśliciela. Nie tknął obiadu, nie wypił kompotu, pogardził deserem.

– Panie Antoni, takie protesty naprawdę nie mają sensu. Co pan chce przez to osiągnąć? Jest pan inteligentnym człowiekiem, powinien się pan dostosować do nowych warunków – radziła kierowniczką. Jednak Antoni nie zainteresował się, ani jej słowami, ani figurą. – Siostró Urszulo, proszę się nim zająć. To emerytowany prawnik – szepnęła do pielęgniarki. – Gdzie go umieścimy?

– Wolna jest tylko dziewiątka. Ale tam jest ten, no, kawalarz, Robercik.

– Ależ on nieszkodliwy, siostró Urszulo.

– Jak pani kierowniczką sobie życzy. Ale ja uprzedzałam.

Antoni został przewieziony na wózku do dwuosobowego pokoju, w którym królował Robercik – mężczyzna pod pięćdziesiątkę, o krzepkiej sylwetce, pociągłej twarzy, sumiastych wąsach i okularach w grubej rogowej oprawie.

– Tylko nie zrób mu krzywdy – prosiła pielęgniarka, usadawiając nowego na łóżku.

Robercikowi zaświeciły się dwa ciemne ślepia. Uśmiechnął się szeroko, pokazując dwa rzędy wypielęgnowanych białych zębów. W jego chorym umyśle już rodziła się psota...

Pielęgniarka zagadnęła kierowniczkę, dlaczego człowiek o takiej pozycji znalazł się teraz w domu pomocy. Dowiedziała się, że mecenas zakochał się w wieku 65 lat w młodszej o 30 lat kobiecie. Kupił jej dom, gdzie spotykali się potajemnie. Kobieta wyciągnęła od niego dużo pieniędzy, rozbiła mu małżeństwo. Dla niej rozwiódł się, sprzedał wszystko co miał...

– A potem najzwyczajniej w świecie wyrzuciła jak psa, na bruk.

– Sam sobie winien – skonstatowała siostra Urszula.

– Cóż, tacy są mężczyźni – pokiwała głową kierowniczką i opuściła dom pomocy społecznej. Na parkingu czekał na nią zazdrosny mąż, wyskoczył z granatowego fonda i usłużnie otworzył drzwi. Kierowniczką wsiadła z gracją i poprawiając włosy w lusterku łaskawie powiedziała:  
– No, jedź już.

\*

Nowy nie posłuchał Arka, skutkiem czego oberwał dłonią w czołko.  
– To było ostrzeżenie – pogroził salowy.  
– Nie zmarnuje się – Pawełek zjadł kolację nowego i wyjął papierosa.  
– Tutaj się nie pali – odezwał się nowy.  
– Słyszałeś? – trącił łokciem kolegę Pawełek. – Pan mecenas przemówił.  
Arek chrząknął, usiadł na stole i pokiwał głową. Nowy wyraźnie prosił się o lekcję życia. Mieli czas, dużo czasu i żadnych przełożonych nad sobą. Do dwudziestej drugiej oni byli królami na tym oddziale. Zwykle po kolacji układali pensjonariuszy do łóżek, niepokornym aplikując proszki na sen. Potem sami szli w kimono lub oglądali filmy z dreszczykiem. Niekiedy mieli ochotę na lekcję życia, szczególnie wtedy, gdy ktoś się o to napraszał. Większość z pensjonariuszy wiedziała, do czego zdolni są Arek z Pawelkiem, dlatego po kolacji grzecznie układali się do snu lub udawali, że śpią.

Nim salowi zreflektowali się, Robercik usłużnie odprowadził nowego do dziewiątki. Zamknął drzwi i życzliwie oznajmił:

– Proszę uważać. Dzisiejszej nocy czeka pana coś bardzo niedobrego – po czym wskoczył pod koc i bezsilnie starał się zapanować nad falą śmiechu.

– Co panu tak wesoło? – spytał nowy.

Robercik wprost konał ze śmiechu i ani myślał odpowiedzieć Antoniemu.

\*

Telefon od babci był kolejnym obciachem dla Jureczka. Arek i Pawełek kiwali głowami, gdy on niecierpliwie słuchał babci:

– Zrobiłam pulpeciki, takie jak lubisz. Ziemniaki już się gotują. Przygotować ci do tego mizerię, czy wolisz ćwikłę?

– Prosiłem, żeby babcia tu nie dzwoniła.

– Wnusiu, o której wrócisz?

– Przecież wiesz – odparł hardo, odkładając słuchawkę. Wsunął dłonie do kieszeni i usiadł między salowymi.

– Sam z nią mieszkasz? – zagadnął Arek.

– Od pół roku, kiedy starzy rozwiekli się, podzielili majątek i wyjechali wpizdu, każde w inną stronę świata.

– Nie byłoby jej lepiej tutaj? – sugerował Pawełek. – Patrz, jak zrobili z nowym. Wysiudali z domu. I chata wolna. Mógłbyś przyjmować kogo chcesz i kiedy chcesz.

– Obiecałem, że będę się nią opiekować – powiedział z wyrzutem.

– Wścibska babka gorsza, niż zazdrosna żona – ironizował Arek.

– A niby skąd kawaler może o tym wiedzieć? – riposta Jureczka była celna.

Salowi wzruszyli ramionami. Chłopak miał rację: obaj mimo trzydziestki na karku, jakoś nie palili się do małżeństwa.

Jureczek nie wrócił do domu. Został z salowymi na dodatkową zmianę, bo jego zmienniczka nie przyszła z powodu choroby dziecka.

\*

Robercik bezszelestnie zbliżył się do łóżka nowego. Nożyczkami uciął spory pukiel jego siwych włosów i podrzucił do góry. Niebawem pukiel opadł na policzek Antoniego. Mężczyzna z ciekawością oglądał kosmyk włosów, nie rozumiejąc skąd się wziął. To zdziwienie rozśmiało Robercika do łez.

– Pan w oczach łysieje! – bawił się nożyczkami.

Dopiero teraz nowy zorientował się, że został podstępnie oskalpowany. Wstał, chwycił kubek z herbatą i chlusnął zawartość w rozbawioną gębę Robercika.

Odgłosy szamotaniny dotarły do salowych natychmiast. Arek z Pawelkiem wpadli do dziewiątki z nadzieją na siłową konfrontację. Spóźnili się. Robercik bolał nad oszpeconą fusami twarzą, a nowy siedział oparty o ścianę z posągową miną.

– Ale rozpierducha – ocenił Arek i pociągnął nowego za ucho. – Wstawaj, posiedzisz trochę w „lodówce”, to spokojniejsz. O, żesz ty! Ugryzł mnie! Cholera!

Istotnie, Antoni ukąsił go w palec. To tylko salowych rozsierdziło. Co prawda nie mieli dziś ochoty na lekcję życia, ale nowy sam się o nią prosił.

- Ile tam w „lodówce”? – spytał Pawełek.
- Trzy stopnie – odparł Jureczek spojrzawszy na termometr za oknem.
- W sam raz.

Wynieśli nowego na ławeczkę do ogrodu. Świecił księżyc, migały nieliczne gwiazdy. Nad bezlistnymi drzewami unosił się opar mgły. Jesień była chłodna i nieprzyjemna. Jureczek patrzył jak salowi układają nowego w „lodówce”, czyli na zimnej ławce pokrytej rosą. Staruszek nie miał na sobie kurtki, ot, ciemnogrnatowy dres i czarne półbuty. Skulił się i zapłakał.

- Dać mu koc? – spytał Jureczek.
- Ochujales?! – krzyknął Arek.

Wrócili do sali telewizyjnej, pozostawiając nowego na ławce niepogody. Arek spojrział na zegarek. Za dwie godziny przyjdzie siostra Funia na nocną zmianę. – Mamy półtorej godziny luzu, chłopaki – klasnęła w dłonie, wskakując na fotel.

Pawełek włączył telewizor. Leciał właśnie serial pt. „Babki do wzięcia”, totalny ubaw dla podstarzałych kawalerów, jak salowi tego domu pomocy.

Jureczek zerknął przez okno. Nowy nie wstał, choć trzepało nim nie-miłosiernie. Leżał w dziwnej pozie, jak umarłak. Zrobiło mu się go żal. Wyszedł do ogrodu drzwiami od kuchni, by salowi nie zauważyli. Nie miał zamiaru im podpaść.

- Odprowadzę pana do pokoju – szepnął.

Staruszek nie oponował. Pomagał taszczyć się przez kilkunastometrową alejkę. Jureczek nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte od środka. Za grubą szybą dojrzał rozbawioną gębę Robercika. Psotnik otworzy usta: na jęzorze pojawił się kluczyk do drzwi. W Jureczku odżyła nadzieja, ale niechybnie przysła, gdy usta Robercika zamknęły się, a jego grdyka wykonała odruch przełknięcia.

– Otwieraj kretynie! – kopnął w drzwi Jureczek, ale Robercik położył palec na wargach i oddalił się w podskokach.

- Wejdzmy od frontu – doradził nowy.
- Gdy zobaczą, że pana zabrałem z „lodówki”, dadzą mi wycisk. Już raz dostałem wpierdol i nie mam zamiaru drugi raz.

Niebo szerniało, księżyc zasłoniły chmury. Mżył deszcz.

- Zawieź mnie do domu – szepnął błagalnie.
- To jest teraz pana dom.

– To więzienie. Chcę wrócić do domu. Pomóż mi.  
– Nie ma zamiaru przez pana zmoczyć dupy.  
– Tylko na godzinę. Zobaczysz, chłopcze, opłaci ci się – zapewnił. Wobec siąpiącego deszczu i żadnej szansy na dostanie się do wewnątrz potruchtali na pobliski postój taksówek.

Taksiarz nieufnym wzrokiem otaksował szepionych mężczyzn. Pomyślał, że stary pedzio poderwał małotala i uśmiechnął się krzywo.

– Ładna. Dom numer piętnaście – oznajmił stary.

Kierowca ruszył bez słowa. Zerknął tylko ukradkiem w lusterko. „Pe-dzie, jak kocham moją starą” – westchnął i dodał gazu.

\*

Na ulicy Ładnej nowy wysiadł niespiesznie, poprawił bluzę dresu. Tuż za nim posuwał się Jureczek.

– Poczekam tu – powiedział chłopak. Jednak stary pociągnął go za rękę i poszli obok żywopłotu w rześisty deszcz. Okrążyli domek jednorodzinny, wdrapali się po murku na półpiętro i z ukrycia zajrzeli do pokoju na piętrze.

Przy fortepianie siedziała około trzydziestopięcioletnia kobieta o rudych, do ramion, włosach, ubrana w czerwoną sukienkę. Była w pokoju sama. Melodia pieśni Chopina „Moja pieszcotka” wybrzmiewała daleko poza okna. Nowy znieruchomiał zasluchany. Jureczek wyrwał go z otępienia narzekaniem na padający deszcz: – Prawie całkiem przemokłem. Zaziębię się.

– Cicho – fuknął stary rozglądając się po pokoju.

– Jakie cicho? – wzburzył się młody. Wyświadczy staremu grzeczność, biorąc udział w nocnej eskapadzie, a ten teraz stawia się? Szarpnął nowego.

Starcza sztywna ręka odepchnęła go. Palce zaplątały się w krzyżyk na lewym uchu. Jureczek poczuł ból, zachwiał się i omal nie odpadł na betonowy podest. Instynktownie chwycił się rynny, zakolysał i z drugiego okna – z innej perspektywy, niż nowy – zajrzał do pokoju. Kobieta rzeczywiście była piękna, uśmiechała się, otwierając i zamykając duże niebieskie oczy. Jednak w pokoju nie była sama. Pod fortepianem, nisko nad podłogą dojrzał czterdziestokilkuletniego mężczyznę w pomiętej białej koszuli, spiętej krawatem w beżowy deseń. Pochylony nad zgrab-

nymi stópkami, obficie skrapiał je pocałunkami. Nowy widział ją od tyłu, dlatego postaci wielbiącej jej stopy nie mógł dostrzec.

– Chcieliście dać mi lekcję życia. A ja daję ci lekcję miłości. Popatrz główniarzu, jaka kobieta mnie kocha – położył dłoń na mokrej szybie.

Jureczek zadrżał.

– Nie. Pan nie może jej się tak pokazać – tą uwagą powstrzymał starczą dłoń od zastukania.

Nowy pojął, że młody ma rację. Zerknął na przesiąknięty wodą dres i rozczapierzone białe włosy. Bardziej przypominał stracha na wróble, niż stęsknionego kochanka. – Pomogę panu zejść – podtrzymał go usłużnie.

– Obiecuj, że wrócimy tutaj w niedzielę. Na obiad. Ty masz pojęcie, jakie Izabela robiła obiady?

– Izabela?

– Piękne imię, co? Imię rasowej kobiety, chłopcze. Ile mamy czasu? – nareszcie mówił przytomnie.

Jureczek kuknął na tarczę swojego zegarka: – Zdażymy.

Przemknęli na skróty, między blokami. Stary frunął jak młody gołąb, niewprawnie, ale z ogromną determinacją, dotrzymując Jureczkowi kroku.

\*

Do domu pomocy społecznej przedostali się przez piwnicę. Osmoleni miałem węglowym dotarli do łazienki. Wzięli wspólny prysznic uradowani, jak harcerze po zdobyciu pierwszej odznaki sprawności.

– Pan mi coś obiecał – upomniał się Jureczek.

– Mam teraz tylko 20 złotych, ale pierwszego przyjdzie emerytura. Dostaniesz, co ci się należy – zapewnił.

– Nic nie chcę – odparł po chwili. – Jesteśmy kwita. Ja panu pomogłem, a pan dał mi lekcję... miłości.

– Spodobała ci się? – rozczulił się i objął chłopca.

Gdyby spojrzął w młodzieńczą twarz dostrzegłby pełną triumfu ironię. Jureczek poznał dwa punkty widzenia na jedna i tę samą miłość. W istocie ta lekcja przydała mu się potem bardzo. Za dwanaście lat przyjdzie mu doświadczyć krótkiego burzliwego romansu żony z poznanym na wakacjach wojskowym. Nigdy nie widział jej tak podekscytowanej, pełnej życia, radosnej. Przeżywała zauroczenie, które kilka razy

w życiu się zdarza, kiedy omamione i rozbudzone zmysły biorą górę nad rozumem. Był pewny, że to samo stałoby się z nim, gdyby na swej drodze spotkał rudowłosą Izabelę. Dlatego będzie patrzył na ten romans rozsądnie i będzie czekał. Uda, że nic nie widzi. Wakacje skończą się, powrócą do domu, a żona – podświadomie starając się wynagrodzić mu zdradę – będzie go dwakroć bardziej kochać.

\*

Siostra Funia zakończyła obchód na dziewiątce. Zastąpiła skwaszonego Robercika skarżącego się na bóle brzucha i spoconego jak mops Antonego. Ponoć nie wytarł się porządnie po kąpieli.

Z Robercikiem po północy były przeboje. Upierał się, że ma klucz w brzuchu. Narzekał na nasilające się bóle. Żądał lekarza. Siostra Funia, wiedząc do czego zdolny jest ten pacjent, nie zwlekając, pojechała z nim na ostry dyżur.

\*

Jureczek spał zły potem. Śnił mu się pokój rozbrzmiewający pieśnią Chopina „Moja pieszczołka”, czarny fortepian, rudowłosa piękność i on skrapiający jej stópki pocałunkami. Jak tego pragnął...

– Wstawaj, dzwoń po karetkę. Z nowym coś nie tak – wyrwał go ze snu Arek w chwili, gdy składał pocałunek na jej prawym kolanie, a miał plany zejść wyżej. – Młody, ruchy – ponaglił Arek.

W dziewiątce nie było już nowego. Leżał w izolatce. Pielęgniarka w osłupieniu patrzyła na termometr.

– 42 stopnie?! – krzyknęła przerażona siostra Funia. Pochyliła się nad rozpalonym Antonim. Stary coś belkotał.

– Karetka jest już w drodze – oznajmił Jureczek. Czerwona twarz nowego zaskoczyła go. Wsunął dłonie do kieszeni i stał bezradnie. Nagle stary wyciągnął rękę i chwycił go za połe koszuli.

– Pamiętaj o niedzieli – przypomniał młodemu.

– Jasne, ładna, numer piętnaście – potwierdził Jureczek.

– Co on bredzi? – spytała siostra Funia i zaraz dodała: – Boże, kiedy ta karetka przyjedzie?

Sanitarka podjechała niebawem. Lekarz bez pośpiechu wspiął się na schody. Standardowa wizyta w domu, gdzie ludzie czekają na swoją kolej do raju lub piekła. Lekarz, przysadzisty mężczyzna po czterdziest-



ce, zbadawszy pacjenta, oznajmił: – Zabieramy go do szpitala. Gorączkę ma jak diabli.

– Kąpał się wieczorem. Pewnie się zaziębił – powiedział Arek.

Jureczek miał ochotę wyjawic, że to skutek przebywania w lodówce”, ale Pawełek zamknął mu usta szeptając: – Chcesz tu jeszcze pracować? To morda w kubel.

\*

Następnego dnia szpital dał znać o śmierci pana Antoniego. Kierowniczka ten przypadek potraktowała jak wiele innych. Bez emocji. Cóż – jak mawiała – przecież oni tutaj przychodzą, by umrzeć, nieprawdaż?

Tej filozofii ulegali pozostali pracownicy, w tym Jureczek. Dostał przedłużenie umowy o pracę na kolejny miesiąc, a potem – na czas nieokreślony. Arek z Pawelkiem wyjechali do Irlandii pracować w prywatnym domu starców. Podobno wyrzucono ich już po tygodniu. Cóż, widać poznali się na ich lekcjach życia i sposobach poskramiania opornych pensjonariuszy. Teraz tyrają gdzieś na budowach.

\*

Jureczek nadal pracował w domu pomocy. Rozpoczął pracę od odwiedzin swojej babci, która nieoczekiwanie zdecydowała się przenieść się do tej – jak przypuszczała – oazy spokoju i kontemplacji. Zamieszkała wśród swoich rówolatków, ale wnuk nie dostrzegał na jej twarzy radości, raczej obojętność i narastającą samotność. Była w tym świecie zagubiona. Z czasem zapomniała, gdzie jest jej łózko, jak ma na imię, po prostu dzieciństwa.

Jureczek odbierał to jak ucieczkę ze świata, w którym nie chciała już być. Przekonał się to tym, gdy babka, uznana przez medycynę za chorą na postępującą demencję, pewnego ranka nagle spytała go: – Jak ci się układa z żoną, wnusiu? Zadowolona z mieszkania?

Był w tym pytaniu zatajony żal, a jednocześnie poczucie zadowolenia z poświęcenia na rzecz młodych. Sama dobrowolnie opuściła swoje M-3, usuwając się do domu pomocy.

– Kocha cię? – spytała, patrząc mu prosto w oczy.

– Mhm – odparł potakująco.

– To dobrze – pogłaskała jego lewe ucho. – To dobrze, że już nie nośisz tego paskudztwa.

– Zamiast krzyżyka mam to – pogłaskał ślubną obrączkę. Ale czy był to jego znak wolności, jak ów nieszczęsny krzyżyk, noszony kiedyś dumnie w lewym uchu. Tego nie powiedział.

– Kochaj ją – poprosiła. – Kochaj ją, wnusiu – dodała ciepło.

Przecież kocham tę idiotkę – pomyślał, ale zamiast powiedzieć to głośno, tylko skinął głową. Dopiero po chwili, gdy zrozumiał, że właśnie żegna się z nim, zapewnił: – Dobrze, babciu.

\*

Wróciwszy wieczorem do domu, oznajmił żonie, że babcia umarła.

– Ile ona właściwie miała lat? – spytała, biegnąc do ich półtorarocznej córeczki, która darła się wniebogłosy.

– Nie wiesz? Przecież ona właśnie dla nas wyprowadziła się. Nie chciała nam przeszkadzać – powiedział, nie kryjąc wzburzenia.

Żona, zajęta uspokajaniem córeczki, nie zauważyła, że Jureczek rozryczał się jak sztubak. Wszedł do łazienki, trzasnął drzwiami i zanurzył dłonie w strumieniu ciepłej wody. Przemysł twarz. W jednej chwili przypomniał sobie, jak babcia rzuca mu z okna kanapki z serem, a on potem ciska je ze złością do kosza. Już dawno nikt nie robił mu kanapek. Kupował coś na ząb po drodze do pracy. Babciu... – westchnął i oprzytomniał. Ochlapał twarz, zakręcił kurek. Wylał się i wszedł do pokoju.

Usiadł na dywanie, przed wersalką, obok nóg żony. Jak echo powróciła prośba babci „kochaj ją, wnusiu”. Stópka żony podrygiwała rytmicznie, jak ongiś stópki rudowłosej Izabeli. Nigdy żonie o niej nie powiedział. To była jego tajemnica.

– Co jest, płakałeś? – spytała żona.

Oparł głowę na jej podrygującej lydce. Zsunął pantofel ze stopy i cierpliwie masował każdy jej paluszek. Zachichotała. Lubił jej dziewczęcy, bez troski śmiech. Zatopiła dłonie w jego krótkich szatynowych włosach i spytała:

– Słuchaj, Jurek, coś ci się należy po niej z PZU, no nie?

Nagle przestał ją masować, ale nie odsunął głowy. Nie było przy nim Arka, ani Pawełka, ani Antoniego. Sam musiał przejść przez lekcję śmierci. I zdać ją celująco. Opanował w sercu zarzewie gniewu, gdy zrozumiał, że przecież żona patrzy na tę śmierć z innej perspektywy. Tak, jak kiedyś Antoni i on patrzyli na grającą Izabelę z dwóch różnych okien. Żona pytała, czy mu się coś należy, kierując się realizmem, a on jeszcze

miał poczucie krzywdy wyrządzonej swojej babci. Nie mógł tym brzemieniem obarczać żony. To on był winny, nie żona. Kanapki zawsze kojarzyć mu się będą z dobrymi dłońmi babci; będzie pamiętał jej dbałość o niego i to, jak głupio marnował jej trud, ciskając je do kosza. Nigdy nie pozbędzie się poczucia winy. Tak więc żona i on patrzyli na śmierć babki z dwóch punktów widzenia. W końcu to pojął. To kolejna lekcja, po lekcji życia i miłości, którą odebrał od losu.

– Dowiem się jutro w kadrach, kochanie – zapewnił głosem wolnym od gniewu.

– Wiesz, moglibyśmy kupić córce nowe ciuszki. Widziałam takie fikuśne w sklepie na Krakowskiej u góry. Nawet niedrogie.

Uniosła małą nad głowę ojca i posadziła na jego kolanie. Córka uśmiechnęła się, pokazując wyrzynający się z górnego dziąsła ząbek. – Daje jej w kość – wyjaśniła.

Jureczek na dłużej zainteresował się białym punktem prześwitującym przez tkankę dziąsła. Z wprawą dentystry wysunął zaobrączkowany palec.

– Nie dotykaj – uprzedziła żona. – Boli ją, jak skurczybyk.

– A teraz? – spytał, podrzucając dziecko na kolanie. – Hop, hop, hop, jedzie sobie chłop, a za chłopem baba, a za babą, nasza Ania...

Córka roześmiała się, rozłożyła ramiona, czując się pewnie i bezpiecznie w jego rękach, a jej duże ciemne tęczęwki, które odziedziczyła po mamie, patrzyły jak zauroczone w jeszcze czerwone oczy ojca.

IZA SMOLAREK  
godło: „telefon”



III nagroda w kategorii prozy

*IZA SMOLAREK urodziła się 19.04.1977 r. w Gnieźnie. Pisarka, dziennikarka, animator kultury. Laureatka wielu konkursów poetyckich i prozatorskich, m.in.: Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Marka Grabli w Zielonej Górze, Konkursu im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej w Świdwinie (2005), Konkursu Poetyckiego „O Strzałę Erosa” w Nowej Soli (2005), Międzynarodowego Konkursu Literackiego Liberum Arbitrium „Polska Poetów 2007”. Publikowała w pismach: „Ex Libris”, „Pro Arte”, „Akant”, „Szafa”, „Pobocza”, „Odra”, „Portret”, „Akcent”. W roku 2006 otrzymała Nagrodę Prezydenta Miasta Gniezna za wybitne osiągnięcia w literaturze, natomiast w 2007 r. stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jest autorką tomu poetyckiego „się lenienie” („Portret”, Olsztyn 2006 – książka zgłoszona do Nagrody Literackiej Gdynia 2007) oraz współczesnej powieści kryminalnej pt. „Wilk i ... śmierć bankiera” (Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa, Warszawa 2006).*

## DOBRY DZIEŃ

*Kwadryl sekstyli wymagającej Wenus do pary z zatroskanym, ale z reguły odpowiedzialnym Uranem gwarantuje ci tydzień...*

Anka małymi łydkami popija mocną, dobrą kawę. Ze skupieniem wpatruje się w monitor komputera. Ance nie należy przeszkadzać. Anka jest bardzo zamyślona.

– Hmm, hmmm – mruczy.

Przechodzę obok dużego lustra, machinalnie przyglądając groszkowy zakiet. Czy się denerwuję? Pewnie, że się denerwuję. Rozmowa w takich warunkach o intymnych sprawach jest jednym z największych sprawdzianów w moim życiu.

– Weź sobie cukierka – doradza Anka, nie odrywając oczu od monitora. – Malaga, niezłe.

Kręcę głową, starając się opanować nieznośne drżenie kolan.

Zgłaszają się do nas osoby interesujące, niebanalne, atrakcyjne, wykształcone, które pragną znaleźć w tym zabieganym świecie odrobinę miejsca na Miłość.

– Kogo masz? – pyta nieuważnie.

– Piotr, rozwiedziony, średnie, 35 lat, przedsiębiorca – recytuję, zerkając w kartkę z błękitno-żółtym nadrukiem.

– Nic się nie martw. Łatwizna. Pamiętaj tylko, żeby zamknąć wszystkie bramki.

\* \* \*

Kiedy się pan już wystudzi na tym swoim optycznym fotelu, a na wprost pana wystudzi się taśmociąg programu z telewizji cyfrowej w poszerzonym pakiecie, a obok wystudzi się szklanka po martini bianco, z przypadkową muszką owocówką odurzoną martini bianco,

kiedy nagle dostrzeże pan, że na pańskich kolanach od dawna nie studzi się już żadna lilablond, wtedy może być pan pewien – życie zaczęło wysysać z pana sen. A ze snem tlen. A z tlenem wszystkie fantazje. I noc ma pan z głowy, kochanieńki, będzie się pan tłukł bezowocnie jak muszka owocówka, w stygnącej półdrzemce, w stygnącym mieszkaniu z przyschniętą, tygodniową jajecznicą w kuchence Mastercook.

A nagle nieprzydatna męskość powlecze się za panem wiernie, jak wyzuty pasek od szlafroka.

Klimatyzacja szumi dyskretnie. Odruchowo liczę sztachety w płocie.

– Czego się pan napije? Kawy? Herbaty? Wody? – gram na zwłokę, bądając teren.

Sztachety w płocie poruszają się, facet obciąża zabawny T-shrit z napisem „i ty możesz mnie przeskoczyć!”, podnosi głowę.

– Niczego, dziękuję. Możemy już zaczynać.

Łapię oddech, uśmiecham się. „Sprawiaj wrażenie osoby kompetentnej, ale wyluzowanej, dyskretniej, ale pewnej oferty, z którą przychodzisz. Słuchaj, bardzo uważnie słuchaj, potakuj, notuj, utrzymując jednak kontakt wzrokowy. Co pewien czas powtarzaj, jako swoje, wnioski, do których w trakcie rozmowy dochodzi klient. W ten sposób dasz do zrozumienia, że go akceptujesz, że się z nim zgadzasz. Ta część nie powinna zająć ci więcej niż 15 minut”.

– Co takiego zaszło w pańskim życiu, że jest pan samotny? – mineralna z trudem mieści mi się w gardle. Bąbelki falują przed oczami. Przecież facet w każdej chwili może potraktować mnie jak intruza, odburknąć coś, w najlepszym przypadku dać do zrozumienia, że ma gdzieś moje psychologizowanie. Co gorsza, będzie miał rację. Stuprocentową rację. Wtedy nastąpi koniec. Wtedy nie zamknę bramki. Wtedy mnie Anka wyleje.

– Z moją ostatnią dziewczyną układało mi się najlepiej. Jednak w końcu nam nie zagrało. Różnica charakterów. Nie myśleliśmy o ślubie, ale komu w dzisiejszych czasach potrzebny jest ślub? Poza tym po rozstaniu z moją małżonką, przez długi czas byłem zrażony do zawierania formalnych związków...

Popłynęło. Słucham, potakuję, notuję, notuję, notuję – mam już cztery strony! Rozmowa zaczyna mnie wciągać, na chwilę zapominam, po co spotkałam się z tym łysiejącym trzydziestoparolatkiem, który bardzo lubi podkreślać swoją wybitną rolę w życiu wszystkich znanych mu ko-

biet. Nagle łapię się na tym – błąd! – że nie powinnam jednak zapomnieć, że muszę czym prędzej wrócić do swojej roli, bo on mnie w końcu zagnie, bo zdoła mi się wymknąć.

– Właściwie – mój klient dochodzi do odkrywczej konkluzji – jeśli jestem taki przebojowy, to może nie potrzebuję pomocy?

Robi mi się gorąco.

– Pomocy? Z całą pewnością – nie! Za to przydałoby się panu kilka okazji do zawarcia nowych znajomości. Widzi pan – wyciągam czystą kartkę, znowu chwytam długopis, szkicuję – tu jest pan, a to pańskie codzienne środowisko. Najbliższe otoczenie. Mieszka pan tu, tą trasą porusza się pan do pracy, robi pan zakupy w tym sklepie, tu chodzi do fryzjera, tu do multipleksu, tu grywa pan w golfa. Grywa pan w golfa? No, właśnie. Tu jest warsztat mechanika, tu – dziobię w nierówne kółka – siłownia i salon fitness...

Pochyla się nad kartką. Plus dla mnie.

– W ten sposób, poruszając się utartymi ścieżkami, znacznie zawęża sobie pan okazje do zawierania nowych znajomości. Spotyka pan ciągle te same osoby, widuje te same twarze. Nie ma pan czasu na nowe rozrywki, nie może pozwolić sobie na przygodne spotkania. Pański czas jest cenny, tymczasem traci go pan na *w y s e l e k c j o n o w a n i e* – celowo to podkreślam – *w y s e l e k c j o n o w a n i e* właściwej partnerki spośród grona kobiet, które spotyka pan na co dzień.

Znowu go mam, bo kiwa głową.

– My to robimy za pana! – triumfują usłużnie. – Pan zleca nam wykonanie tego zadania, co jest zagwarantowane umową, i nie musi się już o nic martwić. Biuro wyszukuje panu, według wszystkich wskazań, które sobie zaraz dokładnie określimy, kobiety odpowiadające pańskim oczekiwaniom i wymaganiom...

– „Oczekiwania” i „wymagania” działają na niego stymulująco. Rozpromienia się jak ekran radzieckiego Rubina.

– ... przed spotkaniem otrzymuje pan dokładną charakterystykę polecaney osoby. Wtedy decyduje pan, czy jest nią zainteresowany...

– Zdjęcia – pada nieśmiertelne pytanie. Wiara w kartonową, błyszczącą podobiznę, od czasu wynalezienia camera obscura jest magiczna. Co ja mówię, magiczna. Wręcz bałwochwalcza. Przygryzam tylko wargi.

– Oczywiście, będę mógł zobaczyć zdjęcia? Przejrzeć katalog? Może mi go pani już pokazać?

Jestem na to przygotowana. Jestem na to uwrażliwiona. Więc odrabiam lekcję na piątkę z plusem.

– A, zdjęcia. Oczywiście. Porozmawiamy również o zdjęciach. Na razie proszę wypełnić ankiety – rozkładałam przed nim trzy karty z mnóstwem tabelek – oraz odpowiedzieć na te pytania. W ten sposób zbadamy pański temperament oraz określimy główne cechy charakteru, które są niezmiernie istotne podczas procesu łączenia w parę – recytuję z uśmiechem. A tu jeszcze niespodzianka! Proszę przez chwilę poczuć się dzieckiem i narysować dom, drzewo i człowieka. To nie musi być arcydzieło, ważne, aby rysunki były spontaniczne. Proszę się nie przejmować, wielu ludzi sądzi, że nie potrafi malować, tymczasem efekty bywają zaskakujące, a przy tym bardzo dla nas cenne – rakiem wycofuję się z pokoju. Od uśmiechu boli mnie cała twarz. – Zostawiam pana samego na kilkanaście minut, testy nie powinny być rozwiązywane w mojej obecności, nie może się pan sugerować moimi podpowiedziami, a takie byłyby zakusy... – już plotę trzy po trzy.

Mam kompletnie mokre wnętrza dłoni i kompletnie dość jego łysiny.

W sekretariacie opadam na tandetny fotel.

– I jak? – machinalnie pyta Anka, nie odrywając oczu od monitora.

– Spoko – monumentalnie się prostuję. – Norma. Już jest mój.

– No, popatrz, popatrz. A Zośce nie wychodzi.

Faktycznie, Zośka stoi przy swojej półce i ciska teczkami.

– Co jest, Zosiu...? – pytam zachęcająco. – Opowiedz!

– Patologia, patologia! – wybucha, ale niezbyt głośno, bo ściany w biurze są cienkie. – Stara, głupia baba z pretensjami. Pożalowania godna dziewczyna! Wyobraź sobie, pięćdziesiąt cztery lata, a wciąż panna! Średnie wykształcenie, ale chce tylko faceta z wyższym, a makijaż ma taki, że skandal! U fryzjera była ostatni raz z okazji śmierci Stalina. Zarábia osiem tysięcy, a jakie skąpiradło...

– Zosia sobie nie radzi – zimno zauważa Anka. – Zgłoszę Zosię na dodatkowe szkolenie do centrali.

Za dodatkowe szkolenia musimy płacić z własnej kieszeni. Taka umowa. Zośka jest wściekła.

– Wcisnę cipie program, choćby nie wiem co. Niech się potem biuro męczy z taką patologią!

Wiemy, jak wiele osób ma niespełnione marzenie w swoim życiu – spotkać kogoś wyjątkowego, pokochać i być pokochanym. Dlatego



właśnie tyle osób korzysta z usług biura Kaprys. Każdego dnia tysiące ludzi swój czas poświęca na realizację zawodowych marzeń. My w tym czasie czynimy starania, żeby ich życie stało się pełniejsze i szczęśliwsze.

\* \* \*

Oczywiście, to nie jest beznadziejna sprawa: zawsze można wrzucić wsteczny bieg bez patrzenia w boczne lusterka. Stając przed lustrem, ukradkiem zrolować sobie tłuszczczyk, odstawić architektoniczny majsterczyk na twarzy, zunifikować się kolagenem, potem zajrzeć do sąsiada, dawny kumpel od panienek na wrzosowiskach na pewno się ucieszy, odkurzyć manierkę, zdemontować kamerę i wejść do netu. Na czat. Na forum tematyczne. Prędzej czy później trafi się jakaś dorastająca bardzo lili blond, która jest nieco do przodu, więc oprócz zwykłego chłopaka chce mieć podtatusiałego pisarza/malarza/dygnitarza/od biody merchandisera, ale za to z polotem. Wtedy można już świętować, można odkorkować do monitora wino i klikać sobie empatycznie jedną ręką o życiu, drugą zawsze trzymając w rezerwie. I co dalej, co? I to, dokładnie to, o co nam szło. Funkiel nówka nieśmigana. Mamy ją w garści. W tanim pakiecie 1 GB.

Zostaje tylko pewien niewygodny problem: kto rozmasuje bolący krzyż, kto ogrzeje nereczki, wypierze niewirtualne majteczki i przypomni o odbiorze wyników badania prostaty?

\* \* \*

Dzwoni telefon. Dziś Aga ma dyżur. Niechętnie odkłada „Kwestię pokoleń”.

– Biuro Kaprys, słucham? Tak, oczywiście... Jasne, słucham, słucham...

Aga kreśli niezrozumiałe zdania na kawałku kartki. Im bardziej jest opanowana, tym bardziej widzimy, że ma trudną sprawę.

– Proszę pani, jesteśmy biurem profesjonalnym, z wieloletnim stażem. Działamy na licencji... Nie, proszę pani, to jest wykluczone.

Wykresy Agi stają się coraz bardziej nerwowe.

– Dobieramy naszych klientów według od lat sprawdzonych metod. Oczywiście, nie jesteśmy nieomylni, tym niemniej doświadczenie pozwala nam twierdzić...

Anka kiwa głową. Aga jest dobra. Aga to profesjonalistka. Poza tym bardzo kreatywna i wykształcona, ma doktorat ze stosunków międzyludzkich. Taka Aga to skarb dla naszego oddziału.

– Owszem, może się pani umówić na indywidualną rozmowę z pani doradcą, ale nie wiem, czy na tym etapie jest to konieczne, szkoda pani cennego czasu. Swoje uwagi może pani sformułować w e-mailu, codziennie odbieramy pocztę, czytamy wszystkie listy, zawsze odpowiadamy... Kto jest pani doradcą personalnym? Wysoka blondynka w niebieskim żakiecie? – Aga spogląda na Zośkę. Ja zerkam na Zośkę. Anka, nie odrywając wzroku od monitora, potrząsa głową.

– Oczywiście, rozumiem pani wzburzenie. Ja też jestem bardzo wrażliwa na poprawne, eleganckie zachowanie mężczyzny wobec kobiety, toteż w pełni utożsamiam się z pani uczuciami...

Zerkam na kartkę. Zdania kreślone przez Agę układają się w wyraźne: kurwajebanamać. Z kwiatkiem w ramce.

– Proszę pani, staramy się dobierać ściśle według przedstawionych nam preferencji. Sprawdzamy dane osobowe naszych klientów, jesteśmy zarejestrowani w GİODO. Nie możemy jednak ręczyć za indywidualne zachowania spotkań z polecanym partnerem, partnerką. Bierzemy pod uwagę państwa zastrzeżenia...

Zośka wychodzi, musi dokończyć rozmowę. Musi wyrobić normę, musi sprzedać program.

– Dobrze – kapituluje Aga – jeśli uważa pani, że to konieczne, zapraszam do biura na krótką rozmowę. Powiedzmy – stuka w kalendarz – tak za godzinę? Okej, jesteśmy umówione.

– Nie dało się inaczej – wzdycha do nas, odkładając słuchawkę. – Kompletnie spalone spotkanie. Kobieta twierdzi, że dostała od biura jakąś patologię. Wściekła się i chciała nasłać na nas dziennikarzy. Mówi, że wyłudzaamy kasę.

Anka przytomnieje. Odrywa się od monitora, migiem wyłącza komputer, zakłada kurteczkę, chwytą walizeczkę, maluje usta markowym błyszczkiem, cała się błyszczy markowo, od razu widać, że szefowa, od razu widać, że interes dobrze się kręci. Woła do nas, stojąc już na progu:

– To pa, lecę na spa! Trzymajcie się, kochane! Radźcie sobie, no i do jutra! – dzielnie całuje powietrze.

– Do jutra – zgadzam się i zarazem wracam do swojego klienta z drzewami, domkiem i człowiekiem z profilu podobnym do niedźwiedzia grzli. Muszę zapłacić czesne za studia i mieć coś na piątkową imprezę, więc nie ma rady, trzeba, kurwa, sprzedać program.

\* \* \*

On nie przychodzi, chociaż ona czeka. Ona musi czekać, ponieważ kiedy on był u niej ostatnim razem, czyli jakieś cztery i pół roku temu, powiedział, że chyba jednak coś z tego będzie, że jednak ją chyba kocha, tylko trudno mu się pozbierać po ostatnim związku i trzeba to zrozumieć, trzeba umieć zrozumieć faceta i on wie, że ona umie, bo ona jest taka jedyna, od razu to wyczuł, dlatego w ogóle chciał zaryzykować, pomimo że trudno się mu pozbierać po ostatnim związku. Ona nie może go zdradzić, tak myśli, gdyby ona teraz, po czterech latach, umówiła się z jakimś innym facetem, chociażby na kawę, broń boże do kina, to on mógłby akurat wtedy chcieć wrócić i ona by go zraniła, a to źle, bo on i tak nie może pozbierać się po ostatnim związku.

Zośka ma dzisiaj bardzo dobry dzień. Sprzedała dwie „dwójki” i jedną „trójkę”, płatność w całości kartą. Krząta się po sekretariacie, zaparza herbatę, częstuje nas sałatką grecką, nuci.

Pan bardzo introwertyczny; lubi proste i nieskomplikowane sytuacje. Typ humoru: politycy (bo P. ich nie lubi!), Smoleń/Laskowik, Drozda, „Ale plama”. Filmy: nie telenowe! thriller, s-f (klasyka; Gwiezdne wojny 4 cz.). Typ erotyczny: twarz: pociągła, nos niezbyt duży, oczy – kolor bez znaczenia, szatynka, lepiej nie: ruda, choć ostatecznie może być; włosy raczej proste niż kręcone, długie; biust średni, figura kształna i proporcjonalna Aga szturcha mnie w bok, długopis kreśli nieładny ślad na biurku. Będę mieć przechłapanie. To biuro Anki.

– Czego? – burczę, ale na inne komentarze jest już za późno.

Do sekretariatu wchodzi pani. Bogato ubrana pani.

– Ależ dzień dobry!

– Dzień dobry, dobry dzień, jaką miłą wiosnę nam pani przyniosła!

Anka i Zośka zginają się wpół. Niżej nie mogą, bo dawno nie były na siłowni, a praca jednak siedząca.

– Witam – cedzi pani.

– Pani nie jest jeszcze naszą klientką? Była pani umówiona? Jeśli nie, nic nie szkodzi! Skąd się pani o nas dowiedziała? Ile przyjaciółek nas pani poleciło? Widziała pani naszą ostatnią reklamę w lokalnej prasie?

Jest pani samotna i chce zmienić ten stan? – niezły ptaszek z tej Anki. Już nie chodzi, już podskakuje, już fruwa lekko dookoła klientki. – Ja się panią zajmę, oh, ja się zajmę! Herbatki? Kawki? Gazetki?

– Pieniędzy.

– Przyszła pani dopłacić pieniądze? Ma już pani ochotę na rozpoczęcie realizacji programu małżeńskiego? Ma pani dość samotnych wieczorów, pustych niedziel, niespełnionych obietnic, randek w ciemno, przypadkowych znajomości, tego myszmaszu codziennego, tej mamaługi nietrafionych ludzi, którzy dziwnym trafem stają wciąż na pani drodze, ponieważ do tej pory nie korzystała pani z pomocy naszego niezawodnego biura? Zaraz kogoś dla pani znajdziemy, zaraz kogoś pani zaoferujemy, zaraz pani wyprodukujeśmy najprzystojniejszego mężczyznę na świecie z najbardziej zbliżonymi cechami inter-exter... – Anka przestaje być ptaszkiem. Anka sfruwa na ziemię, przysiadła u stóp klientki i merda ogonkiem. Anka się ślini. Hau, hau!

– Pieniędzy.

– O.

– Pieniędzy.

– To znaczy?

– Chcę zwrotu pieniędzy. Zrywam z wami umowę.

– O.

– Tak, zrywam umowę. Chcę zwrotu pieniędzy.

– O.

– Pani jest naszą klientką i chce zerwać umowę, pomimo że zaczęliśmy ją już realizować – uśmiecham się, odwracając wzrok od Anki, która kuli ogon i liże łapę. – To niemożliwe.

– Trudno – mówi pani. – Ale możliwe.

– A gdzie jest pani karta? Gdzie jest pani umowa, pani lista spotkań, pani karta życzeń, pani rozpis cech wymarzonego partnera? – histeryzuje Anka.

– Bo jeśli dałaby nam pani jeszcze trochę czasu, to znaleźlibyśmy odpowiedniego partnera... w końcu – Zosia starannie zaciera ostatnie słowo.

– Nie mam czasu na czekanie – mówi miło pani. – Chcę pieniędzy.

– Wie pani, że każdy u nas może znaleźć swoją drugą połowę, tylko nie każdemu wystarcza na to cierpliwości? – grozi Anka.

– Wiem. Chcę pieniędzy.

– Ale co takiego zaszło w pani życiu? Co się przesunęło, co się wylało, dlaczego chce pani zrezygnować ze swojego szczęścia, ze swojej jedynej i może już ostatniej szansy na znalezienie kogoś normalnego, kogoś bezinteresownego, kogoś bez reszty podporządkowanego pani rozlicznym i nie chcę użyć tego słowa, ale muszę, wygórowanym oczekiwaniom? Czy pani zdaje sobie sprawę, jakie to trudne wyszukać odpowiedniego partnera, zwłaszcza dla kobiet, zwłaszcza po czterdziestce, zwłaszcza z ta-ki-mi wymaganiami?

– Wiem – celuje pani. – Dlatego wybrałam wasze biuro. To znaczy myślałam, że wybrałam. A tu, proszę, nie.

– Ale co się stało, co się stało – lka Anka.

– Zrywam umowę. Chcę pieniędzy – mówi pani uprzejmie.

– Aga, możesz porozmawiać z panią? – Anka chwyta się rozpaczliwie. Aga wstaje z miną brzytwy.

– Bardzo panią proszę, tu, do pokoju, bo tak się składa, że akurat mamy pod ręką wolny pokój – mówi bardzo profesjonalnie. – Mój klient spóźni się pół godziny, więc z przyjemnością znajdę dla pani czas.

– Ależ nie trzeba – sztywnieje klientka. – Ja tylko zrywam umowę. Chcę pieniądze.

– Mimo to jednak delikatnie nalegam na kilka chwil pogawędki. Będę bardzo zobowiązana, jeśli zechce przekazać mi pani garść cennych uwag na temat pracy naszego biura. – Aga jest kompetentna. Ma doktorat ze standardów europejskich profesjonalnej obsługi klienta. Taka Aga to skarb dla oddziału.

– Skoro pani nalega – mięknie klientka, a Aga prowadzi ją do pokoju, w którym ani dziś, ani jutro nie pojawi się inny klient. Na pożegnanie macha do nas pięścią.

\* \* \*

Doradca personalny. Poufna szufladka, do której zgarnia się brudy spod wielu dywanów. Przyjazna gumka-muszka, która ściera ślad nieudanych związków, w zamian ofiarując złudną biel możliwości zawarcia tyłu nowych związków, ile dusza zapagnie. Potwór cywilizacyjny, specyfik zwalczający raka samotności. Dynamiczna, empatyczna, dyskretna, konkretna, ale w wycuciem. Z wycuciem z atawistycznych odruchów: jeśli kto chce ciebie zrobić, to wiej! Wrabiająca i dająca się zrobić maszynka do przepoczwarzania pojedynczych fantazji na całe

programy. Bezszelstna zakonnica w taniej odzieży z doszywanymi metkami znanych projektantów, żeby się dobrze prezentowało. Sumienna katarynka, za tysiąc dwieście brutto obracająca milionami katarakt tych, którzy dostali od losu już wszystko, oprócz jednego: mieć szczęście w życiu, pokochać i być pokochanym.

Zawsze na straży, zawsze bez twarzy. Święta Mikołajka, spisująca długie listy życzeń, czynna przez cały rok, bez względu na skoki temperatury oraz ciśnienia.

Najohydniejszy z oszustów, pobierający myto od złudzeń.

\* \* \*

Czasami zastanawiam się, dlaczego płacą mi tak beztrósco kwoty, za które mogliby migrować, przynajmniej na czas wystarczający, gdzieś na soczyste Chalkidiki, żeby spędzić tam chwile słodkie na układaniu się w cielesne konstelacje z tubylczynkami, według życzenia i ile dusza zapagnie. Dlaczego rozpuszczają okrągłe sumy w niewiadomej, machając przed nosem gotowym napisem na „drugą połowę”? Dlaczego nie wpłacą tego na dobrze oprocentowane rachunki, żeby z odsetek swobodnie utrzymywać rój perfekcyjnych lilablond i dwie ambitne, lecz wciąż niedocenione poetki? Dlaczego nie zainwestują w megahipersuperkomputer z turbodoładowaniem plus pełen barek do nocnych klikań o empatycznych brzegach?

Oni są w stanie kupić niemal wszystko, mają pieniądze, przywykli więc do tego, żeby nie wchodzić w podejrzone interesy. Tymczasem nagle w ich życiorysach zdarza się niemiłe pac. Dziura w planach. Bolesne doznania nocne, kiedy nawet kot nie chce ogrzać pęcherza. Dół i światełko w lodówce zamiast późnej kolacji, anarchia w zmywarce, dwadzieścia sześć par skarpet, a wszystkie brudne. Były żony w szczęśliwych związkach, a oni w towarzystwie milczących rybików, w milczących wannach z martwym hydromasażem.

Wtedy się budzą, wyciągają ręce z nocnika, przychodzą do mnie, wręczają łapówkę i chcą, żebym im za to pomogła zrobić kogoś w odpowiedzialność za brudną robotę. Za bardzo brudną robotę. Za ich życie.

– Piątek, piątek, niezły początek – nuci Aga. I wie, o czym nuci.

Każdy, kto pracował w biurze matrymonialnym wie. Miasto dyszy imprezą. Ten, kto z własnej woli zostaje dzisiaj bez pary, to dziwak albo impotent.

U nas od rana urywają się telefony. Starym klientom przypominają się niewykorzystane spotkania w pakiecie, nowi są spotkań bardzo ciekawi i już, już chcą wypróbować, jak się gra w te klocki. A reszta sama nie wie, czego chce, ale na wszelki wypadek dzwoni. Albo przychodzi.

– Dzień dobry – na progu staje mężczyzna (na oko 42 lata, wykształcenie średnie, sektor bankowości dla małych i średnich przedsiębiorstw, trzy i pół tysiąca na rękę, rozwiedziony, dwójka dzieci).

– Chciałem...

– Dzień dobry, dzień dobry! – uśmiecha się Anka, nie odrywając wzroku od monitora.

– W czym możemy panu pomóc, bardzo chcemy panu pomóc, jesteśmy szczęśliwi, że zdecydował się pan nas odwiedzić. Zosia z panem rozmawia, Zosiu!

– Dzień dobry, dzień dobry! – wtóruje Zosia. – Pan jest zainteresowany naszym biurem, czytał pan nasze oferty i postanowił raz na zawsze zerwać z samotnością? Mądra decyzja! Ba, nawet bardzo mądra!

– Nie, nie, dziękuję, ja tylko chciałem... – wycofuje się pan.

Natychmiast go otaczamy, osaczamy go z trzech stron i już musi być nasz. Nie damy mu uciec, nie damy mu zbiec! Choć tu nieszcześny, cip, cip!

Mężczyzna w biurze matrymonialnym to bardzo reglamentowany towar. Na osiem ryczących czterdziestek z wyższym wykształceniem i wyższą stopą zdarza się jeden niewydarzony pawian, z kosztami, alimentami, zapaleniem woreczka żółciowego, skazą w płucach, z przykrótkimi nogawkami wystrzępionych spodni, ale za to facet! Obiekt westchnień każdej kierowniczkii oddziału, machina napędowa biznesu, rachityczna marchewka, na którą będzie można skusić kolejne wypasione ośli. „Jak to: pani się zastanowi? W pani wieku? Na co czekać? My już nawet mamy dla pani pewnego mężczyznę...!” I wtedy każda, gwiazda-nie-gwiazda, tupiąc ze zniecierpliwienia, kupuje pakiet na sto spotkań. Nie ma zmiłuj!

– Interesują pana nasze oferty? – Zosia pyta uprzejmie i robi krok naprzód, podtykając panu katalog jak miskę z zupą.

– Chciałby pan coś zmienić w swoim życiu? Dodać mu jasnych barw?  
– zachodzę go od tyłu i na wszelki wypadek nogą tarasuję wyjściowe drzwi.

– Agnieszko, zaproś pana do pokoju rozmów! – Anka uśmiecha się promiennie, nie odrywając oczu od monitora.

– Zapraszam pana, ten pokój rozmów akurat jest wolny – mówi Aga.  
– Mój klient spóźni się pół godziny, więc z przyjemnością znajdę dla pana czas.

– No, dobrze – pan jest zrezygnowany, drepcze posłusznie, zamyka za sobą drzwi.

– Mamy go – mruczy Anka. – Już go mamy. Aga jest świetna.

– To patologia – syczy Zośka. – Widziałyście, wyglądał jak typowa patologia!

Jak wścieka, bo znowu pozwoliła sobie sprzątnąć sprzed nosa klienta.

A normę wyrobić trzeba.

Tak. Jestem zawodowym słuchaczem, wielofunkcyjnym czasoodwracaczem, nieuleczalnym marketerem ciał opuszczonych, dusz wzgardzonych, niewyżytych rąk.

Ludzie przychodzą do mnie po to, żeby przekonać się, że ich plany w odpowiednich warunkach mogą nabierać rangi domowej klechdy, żeby usłyszeć z moich ust to, w co sami dawno już przestali wierzyć. Błagają, aby ich przeniecowane na wylot, kukły zamienić w piękne księżniczki, walecznych rycerzy, zatopić w formalinie dobrych wrażeń, rozgrzeszyć z nagości, pogłaskać wydęte brzuchy, sfastrygować sinawe wątroby.

Plączę mi za to, żeby mi pomagała reanimować ich gnijące marzenia.

\* \* \*

– ... proszę się zastanowić, lepszej oferty pan nie znajdzie – mówi stu-procentowa Aga, z żalem pozwalając panu na wycofywanie się rakiem z naszego przybytku spełnionych marzeń. – Na wszelki wypadek zachowam pana kartę, oczywiście tylko przez pewien czas, gdyby się jednak pan zastanowił.

– O tak, pan z całą pewnością się zastanowi – parska Zośka, unosząc brwi. – Lepszej oferty pan nie znajdzie.



Anka spokojnie przenosi myszką obiekt z jednej strony monitora na drugą.

– I co – pyta niezobowiązująco – zostanie naszym klientem?

– Nie był zainteresowany biurem – mówi Aga, starannie dobierając słowa. – Przyszedł, żeby sprzedać encyklopedię. To akwizytor.

– Nie powiedziałaś mu, że jako jedyni na polskim rynku działamy na licencji biur ze Stanów Zjednoczonych? Że mamy najwięcej ofert oraz sprawdzone metody poszukiwania partnerek? Że trafiają do nas ludzie inteligentni, wykształceni, o odpowiednim statusie społecznym i majątkowym? – spokojnie pyta Anka.

– To akwizytor. Przyszedł sprzedać encyklopedię – Aga nerwowo macha łyzeczką w filiżance z napisem: U nas dobrze się kojarzy! – Poza tym dopiero myśli o rozwodzie, jeszcze mieszka z żoną...

– Więc jednak odpowiedni! – triumfuje Anka. I zaraz poważnieje. Tak bardzo poważnieje, że nawet kwiatki na naszych ulotkach robią się dziwnie szare.

– Więc jednak odpowiedni – powtarza z naciskiem, który nie wróży niczego dobrego. – Słuchajcie, dostałam właśnie e-maila z centrali. Szef nas pozdrawia i życzy wielu sukcesów w sprzedaży. Jednocześnie zawiadamia, że w poniedziałek będzie u nas kontrola. Nasz oddział ma dobre wyniki, prowadzi w rankingach, ale jednak to wciąż nie to. Wciąż nie jesteście wystarczająco zmotywowane. Wciąż wam się nie chce wystarczająco siebie zmotywować.

Anka wie, co mówi. Anka jest perfekta.

Anka została stworzona, aby pomóc w walce z niedoskonałościami biura. Czy oczyszczająco-tonizująca Anka została stworzona dla mnie? Tak, jeśli moje życie jest mieszane i tłuste, jeśli mam specyficzne problemy lub zależy mi na codziennym oczyszczaniu. Czym się wyróżnia? Emanuje podwójnym ciepłem, które rozprowadzane delikatnie, ale skutecznie, na pewno zostawia ślad trwały i hiperboliczny. Że alogiczny? Nie szkodzi! Dla optymalnego efektu należy stosować razem z płynnym charakterem, omijając okolice oczu.

– Zośka, ile sprzedałaś programów w tym miesiącu? – pyta groźnie, skanując zakamarki naszych dusz. – No, ile sprzedałaś i ile było zapłaconych w całości?

Zosia sięga po swój kajecik, mała, malutka, kruszynka taka, mieści się prawie w Ankowym puzderku.

– Dwadzieścia dwie „jedyńki”, osiemnaście „dwójek”, siedem „trójek” i jedną „czwórkę” – mamrocze niepotrzebnie, bo Anka to wszystko ma u siebie. Czyli na monitorze.

– Jedną „czwórkę”? Czy ja się przesłyszałam? Tylko jedną „czwórkę”?

Zosi już nie ma, już się wtapia w brudnąwykładzinę, już siada jak pyłek pod blaszką liścia dorodnej draceny.

– Czy wy wiecie, ile osób dzisiaj ma niespełnione pragnienie: pokochać i być kochanym? Czy wy zdajecie sobie sprawę z tego, ile samotnych błąka się bezskutecznie po Internecie? Czy pomyśleliście o tym, że puby, dyskoteki, randki w ciemno przynoszą im tylko kolejne rozczarowania? Czy to nie naszą pasją jest profesjonalna pomoc w łączeniu ludzi w pary?

Robi się niebezpiecznie, wolę dezertować; skoczę ci po pizzę, kochana nasza Anko. Sprzedałam w tym miesiącu mniej programów niż Zośka, Zośka to mamut sprzedaży, my, w porównaniu, to nędzni wyrobownicy, niemrawi doradcy personalni samotnych, opuszczonych klientów, którzy aż dyszą, żeby się z kimś spotkać, tylko my im tego bronimy, my się objamy, gnuśniejemy w tym swoim przekonaniu, że istnieje świat inny poza biurem, bardziej świeży i nietykalny, bardziej niewyobrażalny niż marne pięć szans na poznanie odpowiedniego partnera w pakiecie. Jak srodze się mylimy! Więc skoczę ci lepiej po tortellini na ostro, nasza kochana Aneczko.

– Czy wy wiecie, ile programów sprzedała w kwietniu Warszawa?!

Programy to nasz chleb, programy to nasz szal. Kto nie wie, co to program, niewiele w życiu miał. Każdy klient, po indywidualnej rozmowie z naszym doradcą, podczas której zostają rozpoznane, zdefiniowane i naszkicowane jego potrzeby w kwestii kochania, jest wtajemniczany w system pakietowy. Może dowolnie wybierać między programem podstawowym, tak zwanym „jedyńkowym”, gdzie partnerów poznaje się trzech i nie wolno kapryścić przy rozdawaniu, „dwójkowym”, gdzie wzrasta liczba prezentowanych przez biuro partnerów, matrymonialnych bestsellerów, trzeba oraz należy pokręcić nosem, na przykład nad włosami prezentowanej przez biuro osoby („tylko szatynka? A miała przecież być cudowna lilablond!”) i w ogóle jest się bardziej cool... aż do mitycznej „czwórki”. „Czwórka” to nosorożec, gigant wśród gigantów, film klasy A.

Za dwa i pół tysiąca, plus VAT, można mieć wszystko (w przypadku mężczyzn) lub prawie wszystko (w przypadku kobiet). Terminy, limuzyny, wędrownego grajka, zgrają nimfetek poważnie myślących o trwałym związku, czterdziestoletniego kawalera bez manieri starego kawalera za to z domkiem na Sumatrze i sztucznym śniegiem w wiszącym ogrodzie, po prostu, wierzcie, szal.

– I co ja powiem w centrali? – marszczy się Anka. – Że nie sprzedałyście?!

No, tak, karalny fakt: nie sprzedać. Podczas gdy zagubieni samotni już tupią nam na progu.

– Ktoś tupie nam na progu – podrywam się z miejsca. – Pójdę zobaczyć. Może nieśmiały i trzeba go zachęcić...?

– Nie trzeba nam nieśmiały – mamrocze Zośka. – Kolejna patologia...

– Dzień dobry, ja tu chciałem...

– Dzień dobry, dzień dobry, w czym mogę panu pomóc?

– Ja znalazłem za wycieraczką samochodu taką kartkę...

– A... Ma pan naszą ulotkę! Jedną z tysiąca naszych fantastycznych ulotek, rozrzucanych każdego ranka po całym mieście w celu upolowania najwłaściwszego/najwłaściwszej! Jest pan zainteresowany, tak?

– W sumie...

– Zaproś pana do pokoju rozmów – rozplywa się Anka, wracając wzrokiem do monitora.

– Zapraszam pana do pokoju rozmów – uśmiecham się świeżo. Naturalnie i świeżo. – Moja klientka właśnie poinformowała mnie, że spóźni się pół godziny, więc z przyjemnością znajdę dla pana czas.

– Płynę, jadę, frunę, pan pachnie najnowszym guccim, dzisiaj jest piątek, dobry początek, będzie może „trójeczka”, będzie może – ach! Nie śmiem myśleć! Bardzo się płonię, kiedy o tym w myślach wspomnę, ale może i będzie „czwóreczka”?!  
– Zamykam drzwi, ukradkiem łowiąc wściekłe spojrzenie Zośki.

– Co pana do nas sprowadza? Ma pan już dość samotnych wieczorów, rozgadanych telewizorów, tej fonii bez konkretnego obrazu, bez głębokiego jak dekolt przekazu, a czeka pan na miłość?

– Czy biuro Kaprys daje jakieś gwarancje?

– Oczywiście, że tak. W społeczeństwie wciąż pokutuje obraz peere-  
lowskich biur, ekhm, matrymonialnych, prowadzonych w ciasnych po-

koikach szarych mrówkowców, gdzie, ekhm, swatką była starsza pani, dorabiająca sobie do nędznej renciny. My przełamujemy ten schemat. Jesteśmy inni, nowi, nas stworzyły potrzeby rynku, coraz bardziej wymagający klient, który – biedaczek! – nie ma czasu na życie pozazawodowe. A jeśli już czas znajdzie, dostrzega wokół siebie wiele mówiącą pustkę. A kto dziś wytrzyma z wiele mówiącą pustką?

– Żebym, wie pani, nie zapłacił okrągłej sumki, bo wcale nie jesteście tani, to pani wie, bo pani sprzedaje, a firma okaże się krzak i zniknie.

– Nasze biuro działa na licencji ze Stanów Zjednoczonych. Tam podobne biura od lat są normą społeczną. Typowy Amerykanin, kiedy poczuje się samotny, po prostu idzie do biura i ma. U nas...

– Wie pani, są takie czasy, że może być różnie. Dzisiaj interes się kręci, jutro się odkręci i kropka. A ja nie będę mógł odzyskać swoich pieniędzy.

– Rozumiem pańskie obawy, obecnie jesteśmy niekwestionowanym liderem na rynku polskich usług zapoznawczo-matrymonialnych. Jako jedyni stworzyliśmy sieć biur w większych miastach Polski. Docelowo planujemy...

– A słyszała pani, że w jednym biurze, na pewno wie pani w jakim, to mieli prawie same kobiety i czterech dyżurnych facetów, którzy obskakiwali wszystko, co się ruszało...

– Tak, oczywiście, my wiemy, że wiele osób ma jedno, za to największe marzenie w życiu: pokochać i być pokochanym. Wraz ze zmianami, jakie zachodzą w naszym kraju, rosną oczekiwania i wymagania ludzi. Także w takiej dziedzinie jak kontakty międzyludzkie. Zyskujemy dużą grupę coraz młodszych klientów dzięki wysokiej jakości obsługi i profesjonalizmowi, jaki cechuje nasze działania.

– ... A kiedy ktoś chciał wycofać pieniądze, wtedy się dowiadywał, że nie ma, przepadło, bo już zaczęli realizować jego marzenia.

– Uhm, ma pan rację, dzięki naszym działaniom marketingowym docieramy do ludzi, którzy wcześniej nie planowali skorzystania z biura matrymonialnego. Także dzięki przekazom z ust do ust zyskujemy coraz więcej klientów. Polecają nas osoby, które za naszym pośrednictwem znalazły kogoś wyjątkowego, pokochały i są kochane.

– Ja bym chciał tylko dowiedzieć się, czy mam szanse przez biuro Kaprys...

– Wszystkie osoby zainteresowane skorzystaniem z usług biura Kaprys zapraszamy do osobistej wizyty w jednym z biur na terenie całej Polski. W czasie rozmowy prowadzonej przez personalnego doradcę prześlemy informacje na temat biur Kaprys oraz metod działania, jakimi posługujemy się przy doborze partnerów.

– Bo, widzi pani, ja już próbowałam przez Internet, ale to wszystko na nic, jak te kobiety kłamią, pani sobie nie wyobraża, pisze taka, że ma dwadzieścia lat i czuje się kwitnąco, a potem przychodzi na spotkanie zmęczona dwudziestoosmioletka...

– Tak, tak, rozumiem. W czasie takiej rozmowy staramy się dowiedzieć jak najwięcej o osobie zainteresowanej i jej oczekiwaniach w stosunku do potencjalnego partnera/partnerki.

– Ale, wie pani, ja właściwie jeszcze nie jestem po rozwodzie. Dopiero myślę...

– Ależ, oczywiście, rozumiem wszystko, niech się pan tu czuje dobrze. Przyjemna rozmowa, pełna informacji, pozwoli panu zdecydować, czy Kaprys jest właściwym miejscem na poszukiwanie partnera/partnerki.

– Mój kolega poznał jedną w pubie, gwarantowała, że jest wolna, całkiem swawolna, przysyłała esemesy, gwarantowała ekscesy, a kiedy ją niespodziewanie spotkał w supermarkecie, kupowała kaszkę ryżową. Tłumaczyła się, że to niby dla synka siostry, ale – kobiety! Kto je tam wie!

– No tak, no tak, zdarza się. Ale nie u nas. Ponadto gwarantujemy panu całkowite bezpieczeństwo; naszych klientów dokładnie badamy, sprawdzamy dane osobowe, przyjmujemy tylko osoby formalnie wolne, zdecydowane na trwałe związki.

– A macie ładne lilablondynki...? – i tu pan już jest mój!

Pan jest przełamany, pan jest kupiony, pan jest zachęcony, zniewolony pakiecikami, ramkami, mackami, obwolutami, testami na wykrywalność cech stadnych, które przydadzą się w rozkoszach związku, pan jest mój, jest mój, dusza śpiewa, zamknęłam bramkę, mam w dupie Ankę, zamknęłam bramkę!

– Zapraszam pana do terminala, ma pan przy sobie kartę, na pewno srebrną kartę, oh, jakie faux-pas, pan ma złotą kartę! Czwórówka musi być jak malowanie, całość zapłacona od razu, dzisiaj jest piątek, dobry początek, zapraszam pana do kasy, fakturkę możemy wystawić na firmę, chce pan fakturkę, pan poczeka chwileczkę, wrzuci pan

w koszty, jak to zapiszemy? Niech pana głowa nie boli, doradztwo personalne, taka rubryczka, numer pięć be w kategorii, korzysta pan czasem z konsultacji specjalisty w firmie, no nie? No, to z nami też się pan konsultował właśnie i można to w koszty wrzucić.

– Dziękujemy, dziękujemy, do widzenia, do przyjemnego zobaczenia, mamy nadzieję, że nigdy więcej się tu nie zjawisz, że dotąd będziemy komunikować się z tobą wyłącznie e-mailami; strasznie się wyperfumowałaś tym guccim, paskudnie się oblałaś, zwariować można, trzeba otworzyć okna, przewietrzyć pokój rozmów, aż głowa boli tak się oblał perfumem, burak jeden!

Aga mi gratuluje, Aga mi winszuje, Zośka ściska i podnosi kciuk do góry, jestem zwyciężcą, jestem the greatest!

Tylko Anka nie przerywa monitorowania monitora, nie cieszy się wcale, nie płacze ze szczęścia, nie głaszcze mnie czule po głowie. Ścisnęła usta, błyszczyc jej się marszczy na wargach, co jest, Aneczko, co?

– Dostałam e-maila od klienta. Właściwie od klientów – cedzi, wcierając mi w twarz słowa drobne jak papryczki pepperoni. – Wisłocka i Stangrodzki. Spotykają się od miesiąca. Radośni jak szczeniaki. Planują wspólną przyszłość. Chcą zawiesić program, być może całkiem zrezygnować już z naszej pomocy. Są bardzo wdzięczni, bo, jak piszą, to ty ich skojarzyłaś.

– Jeszcze nie rozumiem, jeszcze się krztuszę w duszy ze szczęścia, chociaż groza papryczki powoli wypala mi dziury, psuje makijaż.

– Stangrodzki! Metr dziewięćdziesiąt, rozwodnik bez zobowiązań, mieszkanie w mieście i dom na obrzeżach. Kadra zarządzająca!

Fakt, Stangrodzki, cud, malina i miód!

Teraz wszystkie patrzą na mnie z naganą, powoli świdrują źrenicami mój dress-code, mój troskliwie podlewany image doradcy personalnego, moje z trudem pielone niebiesie anioła stróża dla ubogich. Anka, nie odgrywając wzroku od monitora, sięga do biurka, do szuflady, gdzie pomiędzy starannie posegregowanymi poradnikami „Jak być dobrym sprzedawcą”, „Jak się nie ugiąć, a nagiąć”, „Jak kupować, ale tak, aby się sprzedawało”, między podpaskami a sztucznymi palcami, trzyma rozwiązanie ostateczne, mój osteteczny krach. Jeszcze nie wiem po co, jeszcze nie wiem, na co i co, ale już się dzieje, już się świat nie śmieje.

– Stangrodzki! – powtarza jak w amoku – Stangrodzki! i Wisłocka.

– Wisłocka, ta patologia – mruczy Zośka.  
– Aga chowa się pod stół. Stary numer barmana z saloonu, który już wie, że zaraz będzie strzelanina.  
– Ty kretynko – odbezpiecza Anka – Ty skończona idiotko! Dałaś takiego faceta – pierwszej lepszej cipie! Przecież on był u nas zaledwie cztery tygodnie! Zmarnowałaś nam faceta!

On już nie wróci! Nie wróci! Co z resztą wrzeszczących, tupiących kobiet z pretensjami?! I kto ci kazał kretynko, łączyć ludzi w pary?! – wali mi w oczy z dwururki.

Nikt nie kazał, fakt, pospieszyłam się, zapędziłam się w swojej misyjnej misji, zaplątałam się w swoją sutannę, ale to już nieważne, to już niepoważne, Anka wypala, ja się wypalam, ja się unoszę z dziurą w głowę, z dziurę w kieszeniach, z dziurawym sumieniem, moje strzępki fruują nieznacznie, siadają na wykładzinie, na każdej dziewczynie, na wystylizowanych meblach i zwiotczonych ulotkach z niebieskim paskiem i żółtym kwiatkiem oraz napisem: jesteś sam? Zmień ten stan!

\* \* \*

Anka ze skupieniem wpatruje się w monitor. Ance nie należy przeszkadzać. Anka jest młoda. Anka w necie szuka miłości.

CZESŁAW MARKIEWICZ  
godło: „Pan Wojtek ma urlop”

wyróżnienie w kategorii prozy



*CZESŁAW MARKIEWICZ urodził się w 1954 r. w Zielonej Górze. Ukończył polonistykę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Dziennikarz Radia „Zachód”. Publikował m.in. w: „Poezji”, „Literaturze”, „Nowym Wyrazie”, „Pro Arcie”, „Łabuziu”, „Toposie”, „Akancie”, „Wakacie”. Laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (1996) i dwukrotnie Nagrody Kulturalnej Prezydenta Miasta Zielona Góra (1992, 2004). W roku 2005 otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Kędzierzyna-Koźła w XII edycji Konkursu Literackiego „Krajobrazy Słowa”.*

*Autor książek m.in.: „Zemsta Fabiana” (Zielona Góra 2004), „Niewinne miasto” (Poznań 2003), „Przezroczystry” (Wrocław 2002).*



BYCIE NIE CAŁKIEM  
(fragment dużo większej całości)

To było w czasie, kiedy większość normalnych ludzi czytała już tylko „Gazetę Wyborczą”, jedni z przekonania, drudzy z przekory. Wychodził z domu, szedł bez celu, jak miewał w zwyczaju w latach licealnych, z nadzieją, że spotka kogoś interesującego, stanie się coś nieoczekiwanego. Kiedyś szlał się dla samej idei, bo nie mógł wytrzymać monologów matki o bezsensownej pracy w Towarzystwie. Chyba nawet odszczęknął, że samo życie rozwiązuje problem. Był wściekły. Kazał matce słuchać radia, oglądać telewizję, czytać gazety, jak to restrukturyzują, co się da, a jeśli coś było utrzymywane z budżetu i nie było szkołą, posterunkiem albo szpitalem, po prostu likwidują. Wizytator i prezes mieli już coś na oku. Jemu tym bardziej to zwiślało.

Z łażenia nic nie wynikało, zwykle musiała wystarczyć projekcja. Nie pamiętał wyjątków. Poza tym jednym. To spotkanie zapamiętał.

Po którymś kursie wokół rynku, zabawne, wszędzie są rynki i zawsze ktoś kursuje wokół ratusza, zaczęła go dość zmacerowana na pierwszy rzut oka kobieta. Nie rozpoznał w niej żadnej znajomej. Nie zdziwiła się. Piła. Chyba nie od razu o tym powiedziała, chociaż nie musiała, miała to w twarzy, gestach, oddechu. Najpierw przeleciało mu przez głowę, że on przecież też tak wygląda, skoro są mniej więcej rówieśnikami. Poczul zimny oddech na karku, jakiś cień przesunął się przed oczami. Akurat nie skojarzył tego ze smugą, bo nie lubił Conrada. Żałował, że nie może spojrzeć w lustro. Dopiero kiedy zaczęła mruzczyć o swoich problemach, odetchnął z ulgą. Nie słuchał, przyglądał się. Bardzo chciał się nią zainteresować. Pomyślał, że może to jest właśnie ta wyjątkowa sytuacja. Niczego nie dostrzegł. Podejrzewał, że podstarzała baba stojąca przed nim, chyba na lekkim rauszu, w ogóle go nie zna. Tak, na pewno, na ulicy nie wspomniała o nałogu. Szczegóły poja-

wiły się później. Nie pamiętał, czy ona czy on, w każdym razie któreś z nich dwojga, innej możliwości nie było, zaproponowało kawę. Stali naprzeciwko hotelu. Na dole, za recepcją była niekrępująca knajpka, nie miała okien wychodzących na ulicę. Pomyślał o tym, bo nie wiedział, czy chciałby, żeby ktoś widział ich razem. Kiedy siedzieli przy barze, przyszło mu do głowy, że może by ją trochę podlać, zaciągnąć na górę i zwyczajnie zerznąć. Przypomniała mu się jedna z receptur Gipsa: „Ganc sałatę należy podlać wódką i szatkować od zaplecza”. Sam pomysłu wprowadził go w dobry nastrój. Wszystko było z nim w porządku, reagował jak normalny facet, któremu trafiła się łatwa okazja. Zaproponował lampkę czerwonego wina. Odmówiła. Nie pije. Tak odpowiedziała. Nie pije. I zamilkła, dziwnie refleksyjnie. Uśmiechała się. Podejrzewał, że odkryła jego intencje. Wina. Dodała po chwili. Niczego nie tłumacząc, zażądała wódki, nie prosiła, powiedziała po prostu „wódki”. Cmoknął na odwróconą plecami barmankę, ale znajoma ścisnęła go za łokieć i kiwnęła przecząco głową. Chciała żeby dał jej na ćwiartkę wódki, to ona pójdzie tutaj w pobliżu do monopolowego i kupi, będzie taniej. Zapytała, czy ma na hotel. Miał na hotel, ale nie odpowiedział. Wyciągnął dwudziestozłotowy banknot, dziesięciu nie miał, a głupio było rozmieniać, wsunął jej w garść i tyle. Wróciła po pół godziny. Podejrzewał, że trafił na zwykłą naciągaczkę, która właśnie kończy flaszkę w sąsiedniej bramie. Nie wyglądała na taką, chociaż już wiedział, że lubi się napić. Zapłacił z góry za pokój i mimo wszystko, ze ściśniętym gardłem poczłapał za nią na piętro hotelu.

Kiedy jej nie było ochłonął z pierwszego wrażenia. Pasowała mu ta nieobecność, był gotowy do wyjścia z knajpy. Resztę mógł sobie wyobrazić. Żal było tylko zainwestowanej forsy, chociaż to grosze. I tak miał szczęście, coś tam z kasy dla matki uszczknął dla siebie. Nie wiedział, czy ma ochotę na taką przygodę. Poczul się kurewsko. Świat się obrócił o trzysta sześćdziesiąt stopni, on zapomniał o właściwościach pemoliny, a gdyby nawet, to i tak nigdy nie brał udziału w harcach za szafą w „Domu Aktora” u Gipsa, dlaczego niby teraz, nagle, prosto z ulicy? Nikt by w to nie uwierzył. Wątpił, że ta łatwa baba jest rzeczywiście znajomą ze studiów. To nie jej wina, że nie koncentrował uwagi na kobietach. Zapamiętywał inne szczegóły. Z innego świata. Czyżby z innego? Jeśli z innego, to z jakiego? Przekomarzał się z przeszłością, która minęła niezauważalnie, przynajmniej on czegoś takiego nie zarejestro-

wał. A niby gdzie, w jaki sposób miał to rejestrować? Długo o tym nie myślał, miał przecież tylko pół godziny. Liczył ile zainwestował. Nawet, jeśli ona nie przyniesie reszty z ćwiartki, dodając za hotel, wyjdzie tańiej, niż godzina z najtańszą dziwką. Ale wróciła.

Rzeczywiście była znajomą ze studiów. Fizycznie kojarzyła go z facetem, którego czasami mijała przed salą audytoryjną, bywali na tych samych międzynarodowych wykładach. Pamiętasz, jak mówiliśmy w skrócie na historię wychowania? Sprawdzała być może swoją pamięć. Chuj go wie, tak przynajmniej on rozwijał skrót HW. Więcej słyszała o nim od wspólnych znajomych Gipsa. Mógł to być któryś z wyglansowanych chłopaczków od salicylu albo któraś z ekspedientek, tym bardziej, że ściągali je ze sklepu nocnego, mogły być dorabiającymi sobie tam po nocach studentkami. Z opowieści wykombinowała, że jest facetem z problemami. Tak powiedziała, sądząc, że jesteś facetem z problemami. Ona też ma problem. Alkohol. Pije. Na razie słuchał. Wiedział, że będzie musiał zapytać, jakież to on, jej zdaniem, ma problem? O ile pamiętał, nie miał wtedy żadnych długów, całą forszę oddawał matce i nic go więcej nie obchodziło. Chyba że myślała o jakiejś studenckiej prehistorii. Od początku zdumiewała go ta czasowa cofka. Dlaczego zapamiętała faceta, którego tylko widywała albo o którym tylko coś tam słyszała? Trudno było jej przerwać, łyk wódki, wprost z butelki, uruchomił w niej jakiś wredny mechanizm, perpetum mobile, deux ex machine, chyba nawet nie zwracała uwagi czy jej słucha, czy w ogóle ktoś jej słucha, wydawało się, że nigdy nie skończy. Nie ma powodów, żadnych racji, niczego rzeczywistego, co byłoby pretekstem do sięgania po flaszkę, ma męża, kocha go, on ją kocha, syn świetnie daje sobie radę na studiach, nic szczególnego, socjologia, tutaj, na miejscu, nieźle się im powodzi, mąż, po kłopotach w państwowej firmie, założył coś własnego, handel akcesoriami samochodowymi i takie tam różne motoryzacyjne, naprawdę wszystko się układa, niczego jej nie brakuje, mąż ma nawet czas na jakieś weekendowe wypadki z przyjaciółmi, no, może za dużo powiedziane, ze znajomymi, to nie tak jak kiedyś, teraz muszą zapraszać kontrahentów męża, wspólników, znajomych wspólników, znajomych znajomych wspólników, nawet ich w większości nie zna, dużo w tym wszystkim ruchu, ciągle coś się dzieje, ale wyczuwa coś niepokojącego, stan zawieszenia, coś nieuchronnego, co się musi stać, a nie daje się, odkłada, żeby później bardziej bolało, tak na-

prawdę, to wszystko nie jest do końca tak, jak sobie wyobrażała, drażni ją paskudna regularność tego wszystkiego, syn jest dopiero na drugim roku studiów, a już ma dziewczynę, gotową, przygotowaną na żonę, mają już nawet coś poważnie odłożone po bankach, mąż coś tam zleca tej dziewczynie, jest na ekonomii, już zarabia, to cieszy, ale syn czasami narzeka, że na coś tam jest już za stary, że coś już poszło koło nosa, to co ona ma powiedzieć, ona tego nie ogarnia, to jest za szybkie, mąż wraca zawsze o tej samej porze, wszystko ma poukładane, nawet kochają się też z tą samą paskudną regularnością, ona czuje, że coś wisi w powietrzu, jakaś groźba, no i ta nieuzasadniona pustka, czuje pustkę, mimo wszystko ona czeka na jakieś spełnienie, ale to co jest, to nie jest to, dopiero kiedy się napije dostaje kopa, rozpiera ją, mąż chyba to widzi, nawet nie protestuje, gdy ona polewa samotnie w kuchni.

Od pewnego momentu próbował wyłapywać, o co jej chodzi. Zrozumiał tyle, że babie z nudów przewróciło się we łbie. Tempo życia i takie tam inne duperele, nic go to nie obchodziło. Jemu wtedy szło powolutku, nie czuł żadnych zmian, poza paniką w robocie. Intrygowało go, jaki ona ma problem, o którym nie wie, a który jest tajemnicą rozdygotanej znajomej z wykładów historii wychowania.

Gdyby musiała kołować co miesiąc sześć baniek samych odsetek, zaraz by się jej odechciało walić wodę samotnie w kuchni. Pomyślał z rozrzewnieniem, że pieniądze nie muszą być jedyną zmorą.

Nie pił z nią. Miał ochotę, ale obawiał się, że ćwiartka to za mało na dwoje. Czekał jak to się skończy. Gdyby nie uwaga o jego problemie, zostawiłby ją samą w hotelu, z flaszką. Ćwiartka wódki załatwiła sprawę, nie chciała na drugą. Zastanawiał się, dlaczego chciała, żeby dał jej na wódkę, plotła, że gdzieś tam jest taniej, skoro, jak opowiadała, nie ma żadnych problemów z pieniędzmi. Domyślił się, że korzysta z karty, może w ogóle coś kombinowała. Nieważne. Coś wiedziała o nim. To było na razie ważniejsze. Nie rozumiał, o co jej chodzi, ale bolało, jego też już trochę bolało. Widział, że ona nie tyle lubi, co musi się napić. Zwykła oliwa. Powody zawsze się znajdują. Pomóż mi. Przerwała wreszcie tokowanie. Szepnęła tkliwie, pomóż mi. Zatkąło go, szukała bratniej duszy? Ale on już wtedy nie pił. Jeśli w ogóle kiedyś pił, a pił przecież, po to, żeby nie odstawać w grupie. Bo lubił. Nigdy nie zalewał robala. Przy niej nie miał już ochoty na niepicie. Zapytał o swój problem. Roześmiała się. Patrzyła z miną obrażonej kurwy. Długo nie czekał. Je-

steś pedalem. Rzuciła. Nie wyczuł czy pyta, czy twierdzi. Teraz on się uśmiechnął. Był pedalem i nie wiedział o tym. To możliwe? Jestem pedalem i nie wiem o tym? Odpowiedział, nie przestając się uśmiechać. Możliwe, możliwe, bardzo możliwe. Powtórzyła kilka razy „możliwe”. Była podejrzanie spokojna. Jakby własne problemy przestały istnieć. Bezczelnie trzeźwiała. Wszystko z niej wyparowało. Odechciało mu się śmiać. Musiał natychmiast udowodnić, że nie jest pedalem. Raptem rozdrażniła go frajerska wiara w jej opowieść. Wzięła kasę na ćwiartkę. To nie pasowało do całości. Prowokowała. Była stuprocentową babą, nawet podcięta, nie płaciła za alkohol. Faceci są od tego żeby stawiać. Gdyby zażądał, oddaj pieniądze za wódę i hotel, uśmiełby się. Dlatego nazwała go pedalem? Siedziała na hotelowym wyże, odchyłona do tyłu. Masz oczy onanisty, pedały tak nie mają. Złagodniała. Opadła na łóżko. Lubisz to? Musiał zapytać. Chyba się zdenerwował. Robiła z niego wała. Nawet nie zapytała, o co pyta. Odpowiedziała, że zupełnie nie wie, co lubi, czego nie lubi, że jest jej zupełnie wszystko jedno. Jeszcze kilka razy powtórzyła „zupełnie” i „wszystko”. Mamrotała pod nosem. Od czasu do czasu podnosiła nogi, wyrzucała je w górę, wierciła się. Lubisz to? Powtórzył. Sam nie wiedział, o co pyta. Kiedy podnosiła nogi do góry, spod spódnicy pokazywała się czerwień majtek. Podszedł bliżej, złapał ją za nogi pod kostkami, unieruchomił mocnym uściskiem. Gdy przestała wierzczać, opuścił je na łóżko, wsunął ręce pod spódnicę, na biodra, jednym ruchem ściągnął majtki. Odrzucił spódnicę na brzuch, rozsunął uda, stanął między nimi, tak został. Na chwilę. Leżała cicho, bez ruchu. Miał ją przed sobą na długość kutasa. Rozpiął rozporek, opuścił spodnie. I nic. Nic nie mógł zrobić. Za cholerę nie chciał mu stanąć. Spróbował sobie pomóc. Chyba usłyszała. Uniosła głowę, popatrzyła. Nie umiał odpowiedzieć, co jest. Było chujowo. Cofnął się i dopiero wtedy to zobaczył. Miała siwe włosy na cipce! Jakby go zakneblowało. Wiedział, że teraz na pewno mu nie stanie. Ta siwizna go zelektryzowała. Uczepił się tej siwizny, jakby przedtem nic się nie wydarzyło. Warto było dojść do tego momentu, za wszelką cenę. Nic takiego przedtem, ani potem nie widział. I najprawdopodobniej nie zobaczy. Chociaż mignęła mu w pamięci wielka kępa włosów w kroczu aktorki z filmowej adaptacji Orwellovskiego „Roku 1984”. Czarna, trójkątna plama o nieprawdopodobnej, trzydziestocentymetrowej przeciwprostokątnej, zakrywająca dużo większą, dużo groźniejszą tajemnicę.

Ekranowy obrazek zafascynował go tak, jak zawsze fascynowała go tajemnica płci. Ta, czarna, była wyraźnie, bardzo wyraźnie określona. Patrząc na skromną siwiznę podpitej znajomej ze studiów, ucieszył się z literackiego skojarzenia. Sądził, że już wyleczył się z chorych, chociaż dowartościowujących sublimacji. A tu, nagle, w takich okolicznościach, takie skojarzenie! Ale to była tylko jakaś rdza, zbijające z pantaląku rzeczywistości beknięcie. Gdyby wielką czerni płci zobaczył realnie, jak tę siwiznę, udławiłby się swoją fascynacją. Siwizna w tym miejscu mogła oznaczać tylko cierpienie. Głupio pomyślał, że tej kobiecie było do twarzy z tą siwizną. Teraz jej wierzył. W całe jej gadanie. Wszystko do siebie pasowało. Niczego nie udawała. Zauważyła, co się dzieje. Że stoi nad nią, że nie pracuje nad sobą, że nadzwyczajnie wbija się wzrokiem w jej siwiznę, intensywnie w myśli. I co z tego? To tylko pigment, idioto. Bronił się, przecież ty cierpisz, przecież siwizna jest oznaką cierpienia, przecież normalnie widać to gołym okiem. Jakby lnianowłose dzieciaki nie cierpiały. To była jej trzeźwa refleksja. Poprosiła, tak to zabrzmiało, poprosiła, żeby zajął się sobą, ale widząc jak to wygląda, zapytała z pretensją, może mam ci pomóc? Nie przejmowała się albo chciała odwrócić uwagę od, no właśnie, od czego? Wstając, pstryknęła palcem w napletek dyndający nad jej głową. To był teraz największy problem. Tym bardziej się nie przejmował. Nie ubrała majtek, leżały na środku, czerwone jak plama krwi. Łaziła po pokoju, znowu gadała. Stał obok łóżka, z opuszczonymi spodniami, ze skurczoną kuśką, słuchał. Dlaczego jesteś sam? Byłeś taki atrakcyjny. Skąd wiedziała, że jest sam? Nie masz obrączki. Zgadywała jego myśli. Rzeczywiście, to jest argument, obrączka! W ogóle nie nosił biżuterii. A powinien? To ma jakieś znaczenie, że jest sam? Normalny facet, w twoim wieku, rozumiesz. Żona to zawsze jakaś gwarancja, no, przynajmniej złudzenie normalności. O co jej chodzi? Nawet matka nie naciskała, żeby związał się z jakąś kobietą. A ty, co? Była przecież mężatką. Ja? Ja jestem po prostu nieszczęśliwa mężatka. A ciebie szkoda. Byłeś taki tajemniczy, pociągająco – przerwała, pauzę teatralnie wypełniła cmoknięciem – enigmatyczny. Dodała. Bardzo chciałam cię poznać, zresztą nie ja jedna. No i popatrz, udało się. Wtedy nie byłam taka odważna. I nie piłam. Przynajmniej tyle. Coś mi kołacze po głowie, chyba pisałeś wiersze. Miałaś być pisarzem. Jesteś pisarzem? Po co pytam, gdybyś był pisarzem, musiałabym o tym wiedzieć, oglądam kablówkę. Kpiła? Nie chwalił się.

Nie wiem, może i nie pisałeś, ale pasowałeś jak ulał na artystę. Bo co? Chodziłem nawiedzony, nawalony? Nawet nie miałem trądziku. Chyba, że jestem pedalem. Pisziesz? I co miał jej odpowiedzieć? Wiesz, Miłosz napisał gdzieś, że co najmniej jedno stulecie jest już zmarnowane, sto lat i nie ma szans, żeby tutaj ktoś skroił arcydzieło. To po cholere pisać? Kpił. Nie zdziwiła się. Pisać może i nie warto, ale zawsze warto być pisarzem, nie. Dobrze udawała, że mówi serio, nawet nie drgnęła jej powieka. Pewnie tak, z tym, że bycie pisarzem jest możliwe tylko w Ameryce, tylko tam wielkie jest możliwe. Pewnie myślała, że nie kpi. A on nawet nie zna angielskiego, cztery razy podchodził do egzaminu na studiach, jaki był poziom lektoratów, powinna wiedzieć tak samo dobrze, jak on. Gdybym żył, jakoś, że sto lat, zostałbym pewnie pisarzem. Bo wierzę Miłoszowi. Niech ci będzie, możesz podciągnąć spodnie, i schowaj go. Z tego wszystkiego nie zorientował się, że przez całą rozmowę stał półnagi przy rozbebeszonym łóżku. Nie ruszył się z miejsca. Nie takiego ciebie zapamiętałam. Schyliła się po majtki. Poprosiła, żeby się odwrócił. Żachnął się. Przed chwilą leżała z odkrytą na oścież tajemnicą, bez wstydu, a teraz miał nie patrzeć jak wciąga na biodra czerwone majtki? Nie gap się, już wszystko, co trzeba widziałeś. Nie odzywał się. Podciągnął spodnie. Z jakiej racji miał czuć się podłej niż ona. Miałeś mi pomóc, a ty chciałeś mnie wypieprzyć. Jak miał jej pomóc? Był wściekły. To ona go zaczepiła, chciała wódki, głupio się wywnętrzyła, potem prowokowała, dała sobie ściągnąć gacie, a teraz krew ją zalewa, bo jej nie zerznął. Zapamiętała jakiegoś gogusia sprzed lat. Myślałam, że mi to wszystko wytłumaczysz. Co miał jej tłumaczyć? Pomyliłam się, jesteś kimś innym, jesteś palantem. Widziałam jak trzęsły ci się łapy, kiedy wyciągałeś te dwie dychy. Gównu widziałeś, byłaś urżnięta. Nie wiedział, co go tak wkurwiło. Że nie potrafił jej zerznąć, bo miała siwą cipkę, bo żal mu było kasy, że nie rozumiał, o co jej chodzi z tą pustką? Kochany, urżnięta to ja dopiero będę, jak stąd wyjdę. Kiedy to mówiła miała, opuszczoną głowę, szukała czegoś koło łóżka. Chyba niczego nie znalazła, zresztą nie miała czego gubić. Wyprostowała się. Po takim spotkaniu? Dodała, wykrzywiając wargi. Była gotowa do wyjścia. Cofnęła się spod drzwi, stanęła przed nim na odległość pocałunku, wyciągnęła z torebki pięćdziesiąt złotych, rzuciła na podłogę, odwróciła się, wróciła pod drzwi, otworzyła je, stanęła, pod-

niosła rękę z wyprostowanym środkowym palcem. Zwał sobie konia. Powiedziała niby bez emocji, mimo to trzasnęła drzwiami.

Nie zrobiło to na nim wrażenia. Nie był wstrząśnięty. Okazało się, tak czuł po jej wyjściu, że naprawdę nie chciał jej zerznąć, tym bardziej, że pojawiły się nieoczekiwane okoliczności, chciał jej tylko udowodnić, że nie jest pedalem, nie potrafił jej zerznąć, nie potrafił jej pomóc w żaden inny sposób, choćby bardzo chciał. A nie chciał. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale pełną satysfakcję osiągnął podnosząc z podłogi pięćdziesięciozłotowy banknot. Zresztą nikt by i tak nie uwierzył w tę historię. Chciał o tym zapomnieć już na ulicy, zaraz po wyjściu z hotelu. Udawało się przez kilka całkiem długich lat. Dlaczego w takim razie wszystko tak dokładnie zapamiętał? Westchnął nawet z tego powodu.

Koniec...



PIOTR ROWICKI  
godło: „PIT”

wyróżnienie w kategorii prozy



*PIOTR ROWICKI urodził się 29.08.1975 r. w Ostrowi Mazowieckiej, historyk. Debiutował w 2001 r. na łamach dolnośląskiego rocznika literackiego „Pomosty”. Nagradzany i wyróżniany w kilkunastu konkursach prozatorskich i poetyckich. Zwycięzca w konkursie prozatorskim „Czego oczekuję od mojej przyszłości”, ogłoszonym przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich oraz Stowarzyszenie Pisarzy Niemieckich (FDA). Laureat XIX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J. I. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej, XXIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Jabłoni” w Grójcu oraz II Konkursu Poetyckiego im. Jana Kulki w Łomży. Laureat II nagrody XI edycji Konkursu Literackiego „Krajobrazy Słowa”. Autor dwóch książek „Mężczyzna i Bestia” (Wydawnictwo Finalik, Warszawa 2005), „Przed górami, przed lasami czyli bajki dla dorosłych” (Wydawnictwo Kos, Katowice 2005).*

## ERYK

Największym nieszczęściem Eryka była babka Matylda. To ona wymyśliła mu imię. Upierała się, że nosił je pewien król, ale zapomniała który. Gdy tylko Eryk nauczył się czytać, zaczął go szukać. Jeśli nawet żył kiedyś, gdzieś taki, to cóż z tego, skoro nikt nigdy o nim nie słyszał. Został na zawsze ze swym imieniem, co we wsi, gdzie pełno było Pietrków, Pawelków i Grzesiów nie było dobrze widziane. Ktoś, kto tak się nazywał został skazany. Z samego imienia tylko, był gorszy, w każdym bądź razie inny.

Przez tę samą babkę Eryk stracił ojca. Ojciec miał imię całkiem zwyczajne, Stanisław i był chłoporobotnikiem. Przez dwanaście godzin pracy na kolei był robotnikiem, potem przez trzydzieści sześć chłopem. Przez dwanaście godzin poganiał go zawiadowca Tadeusz Duda, a przez kolejne trzydzieści sześć teściowa Matylda Nagrabska. Przychodził z pracy i szedł do roboty. Wieształ czapkę z daszkiem, z kufra wyciągnął beret, zamiast lśniących mokasynów okręcał nogi onucą i wciskał gumofilce. Ciągłe był niewyspany, czasem nie wiedział, czy jest chłopem czy robotnikiem. Do teściowej mówił wtedy – Tak, tak panie zawiadowco, robi się. – Zdarzało mu się też do przełożonego Dudy, powiedzieć – Dobrze mamusiu. – Dochodziło do tego, że ojciec wychodząc z obory szukał zwrotnic, żeby urozmaicić sobie życie, w pracy palił papierosy z filtrem, a w robocie bez. Wystarczyło, że poczuł tytoń na koniuszku języka i już wiedział, że teraz ma iść w pole.

To musiało się tak skończyć. Ojciec będąc robotnikiem zdrzemnął się na chwilę. Śniło mu się, że jest chłopcem i że kładzie się w stodole na sianie. Pech chciał, że maszynista pośpiesznego do Suwałk nie wiedział, że tory, którymi jedzie, śnią się ojcu jako stodoła z sianem. Kiedy pochowano ojca Eryk miał cztery lata, w domu mieszkała z nim oprócz babki, matka i trzy siostry. Od czasu do czasu, a właściwie częściej

przychodziły sąsiadki. Eryk czuł się osaczony, bał się tych wszystkich bab i coraz częściej prosił matkę o cycka. O tym, że Eryk ciągle ssie wiedzieli tylko oboje. To była ich największa tajemnica. Ukrywali się z tym, jakby robili coś złego, jakby bali się, że ktoś może ich nakryć, przyłapać. Próby odstawienia Eryka kończyły się niepowodzeniem. Chłopiec bez matczynego mleka zapadał na jakąś dziwną chorobę, właściwie na wiele chorób. Dostawał gorączki, całe ciało pokrywały krosty, wymiotował. Wystarczyło, że przyłożył głowę do matczynej piersi, że pociągnął kilka łyków, a natychmiast odzyskiwał zdrowie. Białe policzki nabierały rumieńców, oczy z dawnym blaskiem patrzyły na świat, nic dziwnego, że matka nie miała sił, żeby Erykowi odmawiać – Sssij mój mały, ssij, na zdrowie – mówiła głaszcząc go po głowie.

Matka rzadko się odzywała. Od dnia, gdy prowadzona pod rękę przez wąsatego milicjanta, poszła na tory, żeby rozpoznać ojca, z każdym dniem, coraz bardziej pograżała się w krawiectwie. Zamykała się w swoim pokoiku, za kuchnią i szyla coś bliżej nieokreślonego, czego nie dało się nazwać. Przypuszczalnie sama nie wiedziała co szyje, dla kogo i po co. Czuła potrzebę szycia, czuła ją fizjologicznie, tak jak parcie na pęcherz. Babka powiedziała nawet, że matce się pomieszało w głowie, że przez tę tragedię przestała odróżniać „sz” od „ż”. Wydawało się jej, że szycie to życie i odwrotnie. Przed oczami kładła sobie zegarek, po którym go rozpoznała – To Staśka – powiedziała do milicjanta. Przez te wszystkie lata, które minęły, czas się dla niej zatrzymał. Ciągle była jedenasta dziewięć, dwadzieścia pięć sekund. Pośpieszny do Suwałk za dziesięć minut miał minąć Małkinę.

Jakiś czas temu przeglądając album ze zdjęciami Eryk zobaczy śliczną młodą dziewczynę. Nigdy w życiu nie widział kogoś równie pięknego. Kiedy będę dorosły, znajdę sobie żonę, która będzie tak wyglądała – powiedział. Matka oderwała się na chwilę od maszyny. Spojrzała, uśmiechnęła się niewyraźnie i pogłaskała go po głowie mówiąc – Nie poznajesz, przecież to ja głuptasku. – Po raz pierwszy od wielu dni wypowiedziała całe zdanie. Eryk zaczął wypytywać, gdzie zostało zrobione zdjęcie, ile miała wówczas lat, ale jego głos zagłuszył terkot napędzanego nogą Łucznika.

Babka Matylda nie ruszając się z miejsca była wszędzie. Tak się przynajmniej zdawało Erykowi. Wiedziała o wszystkich jego psotach i przewinieniach zanim jeszcze się wydarzyły. Pod tym względem przypominała Boga, na pewno nie Matkę Boską, której kilkanaście obrazów znajdowało się nad łóżkiem. Nie miała nic z madonny, ani dobrotliwego spojrzenia, ani łagodnych rysów. Nawet głos miała niski, jak stary pijak. Tym basem, połączonym z metalicznym jazgotem dzwonka w kształcie anioła, co rano budziła Eryka do modlitwy. Odstawiała Serafinka (tak pieszczotliwie nazwała aniołka), siadała na stolku, podtrzymując się sękatą laską i słuchała. Każdą pomyłkę zapamiętywała sobie stuknięciem. I chociaż Eryk znał pacierz, to mylił się coraz bardziej. Nie przez złośliwość nawet, to działo się bez jego woli. Czuł, że każdy jego ruch i gest jest obserwowany, każde słowo wnikliwie słuchane. I mówił, zamiast „błogosławionaś między niewiastami” – „błogosławiona między nami” – zamiast „błogosławiony owoc żywota twojego” – „błogosławionyś owoc żywota twego”, Kolana drżały mu na samą myśl o stuknięciach, które już usłyszał, a przed nim było jeszcze najgorsze – „Wierzę w Boga”, w którym średnio mylił się dwadzieścia razy. Babka odmawiała swoje modlitwy, wykonując jednocześnie karę. Łączyła przyjemne z pożytecznym. Podnosiła laskę i uderzała w siedzenie ciągle klęczącego Eryka, szepcząc – „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Pewnego wieczora Eryk ukrył się za łóżkiem. Ukrył się bez jakiegos obmyślonego powodu. Ot tak dla ukrycia się samego. Obserwowanie innych w chwilach, gdy myślą, że nikt ich nie widzi było czymś przygotowującym o dreszcz emocji. To w takich chwilach zacne matrony puszczają głośne bąki, ostentacyjnie wkładają sobie palce do nosa i zagłębiają się w nim, jakby naprawdę zamierzały coś tam odnaleźć. Eryk nie mógł wyobrazić sobie, co w takiej chwili będzie robić babka Matylda. Schował się i czekał. Przez dłuższy czas nic się nie działo. A właściwie działo się wszystko, to co zwykle. Babka robiła na drutach, chrząkała, podchodziła do okna, siadała, znów chwyciła za druty. Kiedy znudzony, już, już miał wyjść, wtedy stało się. Babka podeszła do ściany. Do tej samej ściany, na której dumnie preżyła się kolekcja madonn, od licheńskiej i gietrzwałdzkiej, po kodeńską i świętolipską. Eryk leżący za łóżkiem dostrzegł dwie dłonie dotykające jaśniejącego w cen-

trum oblicza Jasnogórskiej Pani. Dłonie zdjęły obraz i za chwilę go powiesiły. Zamiast smutnego oblicza Pani Częstochowskiej, pojawiło się wesołe lico nieznanego pana. Sumiaste wąsy dyndały wzdłuż policzków, tułów pana pokrywał wojskowy mundur. Nie mógł to być ani Jezus, ani żaden święty. A jednak babka Matylda uklękła i zaczęła się modlić. Szeptala coś, wzdychając od czasu do czasu – Mój Boże! – Czyżby sam Bóg tak miał wyglądać?

Kilka dni później Eryk miał otrzymać lanie, w dodatku przy jednej z sąsiadek, która była takich widowisk zagorzałym zwolennikiem.

– Kładź się, czy trzeba wystosować do szanownego pana zaproszenie? – babka Matylda podwinęła rękawy.

Eryk wskoczył na łóżko i w jednej chwili przekreślił obraz. Wykorzystał chwilę zaskoczenia i rzucił się stroną drzwi. Gdy był już bezpieczny, uchylił je i krzyknął: A babcia to się modli do wąsala – po czym wysunął język z wielką satysfakcją i pokazał go wszystkim.

Wieczorem podczas odbywania zaległej kary (podwojonej za ucieczkę) Eryk usłyszał historię wąsala. To było najmilej spędzone lanie, jakie przeżył.

Wąsal był mężem babki Matyldy. Nazywał się Teofil Nagrabski i był partyzantem. Nie takim zwyczajnym chłopcem z lasu, ale partyzantem co się zowie. Nie poddał się nawet wówczas, gdy powszechnie ogłoszono wielkie zwycięstwo. Został na posterunku. Z biało-czerwoną opaską, z zapasem żywności uzupełnianym pod osłoną nocy, w rodzinnym domu. Gdy skończyła mu się amunicja postanowił kontynuować walkę w zmienionej formie, moralnej. Ludzie mieli go za wariata i po jakimś czasie przestali się nim całkiem przejmować. Dziadek Teofil kategorycznie odmawiał powrotu do domu, twierdząc, że obowiązkiem mężczyzny, jest walka, nawet jeśli wróg tchórzy, odejdzie, zostanie pokonany. Prawdziwy mężczyzna czeka, wiedząc, że w każdej chwili może nadejść nowy przeciwnik, trzeba być zawczasu okopanym, gotowym i czujnym. Na nic się zdały prowokacje bezpieki, próby przeczesywania okolicznych lasów przez połączone siły MO i UB. Jednoosobowy oddział Teofila Nagrabskiego wciąż działał. Dopiero zimą sześćdziesiątego siódmego odnaleziono jego ciało. Zastygłe na lufie karabinu palce, nie dały się oderwać. Pochowano go na siedząco, z bronią. Babka zapakowała mu do partyzanckiego wora kawałek tłustego

boczkę, chleb i butelkę bimbru. Kto wie, czy Teoś, w niebie, nie będzie próbował się okopać – powiedziała kończąc drugą „czterdziestkę”.

Opowieść o partyzanckich wyczynach dziadka Teofila Nagrabskiego miała też inną wersję, mniej patriotyczną. Według niektórych sąsiadów, Teoś Nagrabski darł koty z Matyldą od pierwszego dnia, gdy katolicki ksiądz związał ich ślubną przysięgą na wieki, Eryk nie rozumiał o co chodziło z tym darcim kotów, w każdym bądź razie szło o to, że trudny charakter babki, tak wpłynął na dziadka, że ten wolał zostać partyzantem, chociaż wówczas Niemcy siedzieli jeszcze w swoim kraju i przez głowę im nie przeszło, żeby napadać na innych. Prawdziwa wojna stała się dla dziadka pretekstem, namaściła go w oczach babki, a przede wszystkim sąsiadów, którzy do tej pory nie mogli zrozumieć sensu wojny partyzanckiej. I babka miała łżeć, bo już nie czerwieniła się mówiąc, że „jej stary w lesie”. Teraz mogła te słowa wypowiadać z dumą, mieć męża w lesie to było coś. To była nobilitacja i powód do noszenia głowy wysoko. Babce to zostało na zawsze. Nawet wówczas gdy po wojnie na partyzantów zaczęto mówić – leśni bandyci. Nawet gdy urządzali przeciw nim obławy, kiedy na drzewach i płotach pojawiały się ogłoszenia z podobiznami. Fotografia dziadka również któregoś dnia zawisała na drzewie, ale nie za długo. Rozpadał się deszcz i wszystko się rozmyło – babka dostrzegła w tym palec Boży i powiedziała, że chociaż czas teraz diabła, to jest jeszcze Bóg ma niebie.

\*

Mężczyźni nie pojawiali się w domu Eryka z własnej woli. Bywali z obowiązku służbowego – listonosz, inkasent, akwizytorzy różnych branż, organista z opłatkiem, wreszcie raz w roku ksiądz po kolędzie. Jedynek, który przychodził z własnej nieprzymuszonej woli był doktor Wszędyrówny. Mieszkał samotnie, kilka domów dalej i z nudów odwiedzał wszystkich. Chociaż z racji wykształcenia był lekarzem od zwierząt, nikomu to nie przeszkadzało. Leczyli się u niego wszyscy, bez wyjątku. Nikomu jeszcze nie zaszkodził, a to w medycynie było najistotniejsze, ważniejsze niż samo nawet wyleczenie.

Doktor Wszędyrówny nie był jeszcze całkiem stary, twarz miał młodą, siwe włosy dodawały mu tylko powagi i godności. Miał rzadko spotykaną u ludzi umiejętność słuchania. Był cierpliwy, wysłuchiwał do końca nawet kogoś tak nedorzecznego, jak babka Matylda. Pozwalał

się wygadać, dopiero potem mówił co myśli. Jego odpowiedzi były tak dziwne, że ich sensu nikt z początku nie potrafił pojąć. Były jak biblijne przypowieści. Kiedyś babka Matylda przez dwie godziny opowiadała o tym jak jej strzyka w kostce. Zaczęła od wydarzenia sprzed czterdziestu lat, a zakończyła na wczorajszym poślizgnięciu się na schodach. Doktor wysłuchał jej z powagą, wreszcie powiedział – To oczywiście, szewcy zeszli na psy. Kiedyś buty dopasowane były do nogi, że człowiek nie wiedział, czy to jeszcze but, czy już noga. A teraz... – Doktor machnął ręką ze zniecierpliwienia. Babka Matylda pokiwała głową i poczuła, że jest uleczona.

Złośliwcy mówili o doktorze, że jest głuchy jak pień, ale to nie była prawda. Wszędyrówny słyszał, co chciał, a czego nie chciał nie słyszał. Tak było mu dobrze i dziwił się czasem, dlaczego inni jeszcze na to nie wpadli. W ten sposób można by uniknąć wielu nieszczęść, chociaż może niektórzy lubili nieszczęścia.

Ktoregoś wieczora, gdy miał przyjść doktor Wszędyrówny, babka zarządziła generalne sprzątanie. Sama wzięła się za pieczenie gęsi. Karolina i Zuza piekły ciasto, a Natalia polerowała sztućce. Coś wisiało w powietrzu. Gdy na stole pojawiła się karafka z czerwoną zawartością (nalewka jarzębinowa), Eryk zrozumiał, że szykuje się grubsza afera. Nikogo, nigdy tak nie podejmowano w tym domu. Nawet księdza proboszcza częstowano zaledwie herbatą i drożdżowym ciastem. A tu gęś, ciasto, porządki, czyste sztućce, na dodatek wszyscy mieli się ładnie ubierać, a jak doktor przyjdzie być grzecznym i się uśmiechać.

Doktor Wszędyrówny udał, że niczego nie zauważył. Jakby przychodził na takie gościny codziennie. Jadł gęś, podlewając ją nalewką i chwalał gospodynię. Kiedy na talerzach było więcej kości niż mięsa, a karafka zaczęła przepuszczać światło, lekko podchmielona babka Matylda zaczęła swój wywód.

– Nie jest dobrze, żeby kobieta była sama. Przepraszam.

Po każdym zdaniu czekała i mówiła przepraszam. Niepotrzebnie, bo doktor pogrążony był we własnych myślach i wcale nie zwracała na nią uwagi.

– Bóg stworzył mężczyznę i z jego żebra kobietę. Na obraz i podobieństwo swoje. I powiedział: weź tę kobietę, bądźcie płodni i rozmnażajcie się. Przepraszam. Bogu się sprzeciwiać nie wolno. No, niech doktor powie, czy wypada się sprzeniewierzać Stwórcy? Przepraszam. Karolinco, zrób może kawki, panu doktorowi.

– Gąska palce lizać, wypieczona, mniam – odpowiedział doktor i z uśmiechem wrócił do swoich myśli.

– No zrób i ja się napiję. Bo widzi doktor, moja córka to jeszcze..., przepraszam, zdatna kobieta. Czterdziestki jeszcze nie widać, a tu dzieci czworo. Rozumie doktor?

– Taka gąska to najlepsza z jabłuszkiem. Jabłuszko może być trochę kwaśne, bo sos słodkawy. Jak się to wszystko zmiesza, mój Boże.

– Tak sobie pomyślałam. Doktor całe życie sam, ona sama, może by was połączyć, lżej by wam było razem. Ona by odżyła, bo teraz to z niej nie ma żadnego pożytku, nic tylko szyje. Nawet do ludzi wyjść nie chce, mówi, że się wstydzi. A czego tu się wstydzić, jakby to jej wina była, że Staśka pociąg przejechał.

– Do gąski dobre są pieczone ziemniaczki. W piekarniku, na rumiano. Lekko je tylko posolić, a na wierzch przed samym jedzeniem krztynę maselka...

– To, co zawołać Krysię?

Nie widząc, by doktor protestował, babka poszła do pokoju i za chwilę wróciła, pchając przed sobą córkę i krzycząc.

– Dzieci, już do pokoju, teraz dorośli będą rozmawiać.

Eryk stoczył z siostrami zażartą walkę o prawo zerkania przez dziurkę. Podśłuchiwać nie musieli, dorośli rozmawiali bardzo głośno. Doktor wytwornie, choć chwiejnie uniósł się i ucałowawszy dłoń matki próbował usiąść. Nie trafił jednak na krzesło, siadł jak gdyby nigdy nic na podłodze. Babka, żeby mu dotrzymać towarzystwa, siada obok niego. Matka uśmiechnęła się i wskazała na trzymany w dłoniach kawałek materiału.

– Roboty tyle, a tu już po czwartej... co mamusia chciała?

– Rzuć to w cholere, teraz nie czas na szycie. Doktor przyszedł.

Matka kiwnęła głową na znak, że widzi.

– Doktor przyszedł do ciebie!

– Do mnie?

– Żenić się z tobą chce...

W tym momencie doktor zerwał się na równe nogi, zerknął na zegarek, złapał się za głowę i już w drzwiach powiedział.

– Jezu Chryste, u Kuleszy kobyła się pewnie ożrebiła.

Od tego wydarzenia doktor Wszędyrówny dołączył do mężczyzn, którzy do domu Eryka przychodzili jedynie z obowiązku.



MATEUSZ WÓJCIK  
godło: „Anna Wintour”

wyróżnienie w kategorii prozy



*MATEUSZ WÓJCIK urodził się 18.07.1989 r. w Kędzierzynie-Koźlu. Uczeń II Liceum Ogólnokształcącego. Laureat Konkursu „Małe Krajobrazy Słowa” (2005) – I nagroda. Debiutował w 2005 r. opowiadaniem „Na patyku serce”, opublikowanym w antologii pokonkursowej „Jak warkocz splatać słowa”. W roku 2006 otrzymał III nagrodę w XIII edycji Konkursu Literackiego „Krajobrazy Słowa”.*

## SROMOPROTEZA

Za moją pensję mogę nabyć:

- 900 baterii alkaicznych,
- połowę torebki Vuittona,
- 7200 bułek zwykłych,
- 327,27 filiżanek kawy,
- 3/4 biletu do Nowego Jorku.

Wstaję codziennie, bardzo codziennie około godziny 7.40 rano. Budzi mnie budzik w telefonie komórkowym, którego zegarek przestawiony jest o około 7 minut do przodu, abym się tak bardzo nie spóźniał. Schodzę po zimnych schodach, owinięty w szlafrok, w którym wyglądam jak Hju Hefner podczas całkowitego zakazu trzymania w domu królików. Na kuchennym stole czekają na mnie kanapki zrobione przez matkę, jeżeli nie są przykryte ścierką, lub dużą plastikową miską, wtedy zazwyczaj znajduję obok kanapek dwa koty zjadające ser i zlizujące masło.

I już dzisiaj wiem, że czas to za mało, aby powstrzymać muzykę, taniec, śpiew. Wiem, że zatrzymując wskazówki nie zatrzymam idącej chodnikiem kobiety, wiem, że zmarszczki na twarzach matek i ojców nie przestaną się pogłębiać, i że dzieci nie zastygną z piłką w powietrzu.

Wiem też, że marchewka z miodem smakuje o wiele lepiej niż bez niego, że najlepsza kokakola jest w małych szklanych butelkach, a że jazz może płynąć tak samo, jak mleko wieczorem, przed snem.

Nauczyłem się, że każda kobieta jest inna, i że wszystkie boją się, że uszną samotnie. Prawdziwa krzyczy tylko na swojego najwspanialszego i jedyne go kochanka, płacze tylko do niego i tylko przez niego nie nawidzi innych kobiet. Prawdziwych mężczyzn nie ma.

Powiedzmy, że był dzień, deszcz ze śniegiem, popołudnie. Powiedzmy, że była to ziemia na Księżycu albo, że księżyc w parku. Że mimo mroźnego powietrza, świeciło tak od dawna wyczekiwane słońce. Powiedzmy, że ulicą szli dwaj mężczyźni, i powiedzmy, że szły dwie kobiety. Każdy mężczyzna z żebra każdej z kobiet, a każda kobieta z żebra tej drugiej. Więc szli, mężczyzna, mężczyzna, kobieta i kobieta. Jechał samochód, czerwony. Na chodnikach ciągle był jeszcze zielony śnieg, a pogoda niezmiennie, mimo padającego deszczu, była słoneczna i sucha.

Mężczyzna złapał za rękę kobietę i stał się kobietą, ta druga podbiegła do tego drugiego i nim się stała.

Powiedzmy, że jest ten sam dzień, trochę później, tak z 2 godziny. Chodnikiem idzie mężczyzna i kobieta. Zatrzymują się oboje, mimo że ona go mija. On chwyta ją za rękaw płaszcza, mimo że ona ma na sobie wiosenną sukienkę. On zostaje sam na ławce, ona tańczy wkładając mu banknot do kubeczka. On jest bogaty, ona biedna. On i kobieta. Ona i mężczyzna. Nie, nie są szczęśliwi, a przecież mogli być.

Szukam kluczy, codziennie około godziny 7.46 minus siedem minut = codziennie około godziny 7.39. Zazwyczaj leżą na szafce z butami, a jeśli nie tam, to w drzwiach wejściowych od strony wewnętrznej, to znaczy mieszkalnej.

Zawsze przed wyjściem sprawdzam pocztę elektroniczną, czy aby nie dostałem czegoś poza listami reklamującymi powiększanie penisa i piersi. Zazwyczaj wygrywam około 24 milionów dolarów tygodniowo, każdy z milionów regularnie ląduje w koszu, z którego po upływie 24 godzin jest automatycznie usuwany, aby za następne 24 godziny pojawił się kolejny.

Wychodzę. Zamykam drzwi od strony zewnętrznej to znaczy niemieszkalnej, dochodzę do wniosku, że po raz kolejny nie wziąłem portfela, i że po raz kolejny nie będę mógł wypić filiżanki kawy. Siadam na przystanku autobusowym, patrząc na codziennie tę samą rozkładającą się staruszkę, opatuloną w trzydzieści lat temu ładny bardzo płaszcz. Zastanawiam się na jak długo trafia do się do więzienia, po ucieczce z miejsca wypadku w razie gdyby dostała ataku. Odsuwam się od niej zawsze o około 24 centymetry, co 24 godziny, pomijając soboty, niedziele oraz dni uznawane za świąteczne i wolne od pracy.

A nawet gdyby tańczyć mogli, to ona by nigdy nie dotknęła jego ramienia, zazwyczaj ucieka, dotykając szorstkiej faktury tynku. Zazwyczaj on się wtedy zasmuca i wlewa pomiędzy jej piersi. Ona udaje wtedy, że ma sztuczną nogę, zamyka oczy i pozwala mu wsiąknąć, licząc, że niedługo będą go z niej wysysały dzieci.

Nawet nie potrafiła go ładnie rozbierać, troszeczkę krzyczała, zdejmując pojedyncze fragmenty rękawa koszuli, zawijała mankiet, wsypywała do niego resztki waniliowego tytoniu. Układała skręty na głowie jego sąsiadki, polewała ją benzyną i rzucała na nią iskrzące spojrzenia. Sąsiadka spalała się ze wstydu, za każdym razem.

Nie mam czasu na upadanie. Nie mogę się potykać. Kobiety i ludzie, święci najświętsi boscy, co żyjący w mieszkaniach i kuchni bezopadowe kochający, padajcie na kolana przede mną, codzienności bożkiem. Patrzę zawsze w stronę, w której nie potrafisz mieć oczu. Tam gdzie byś chciał odkręcić kręgosłup. Powiedz teraz, dokąd mógłbyś uciec najdalej? Już wiesz, że to wszystko tam. O właśnie tam, gdzie każdy z kręgów szyjnych ściera się z sobą wzajemnie. A wiesz, mogę siedzieć tak tutaj w nieskończoność, dzień za dniem, papierek za papierkiem, wywóz śmieci w każdy co drugi wtorek miesiąca. Odhaczasz? Dni, tygodnie, miesiące? A może już najwyższy czas. Odhacz siebie. Okno wystarczająco wysokie, budynek wystarczająco ponad poziomem ławki. Zabij skacząc! Się, ją, jego, ono.

Kobieta staje. Dłonie kładzie na piersiach, rozrywa papier, robi się chaotycznie. Miesza w wodzie mąkę, robi się ciężej, drożdże stawia przed piecem, robi się coraz cieplej. Ciasto rośnie. Ciasto skleja każdy z jej włosów. Kobieta dotyka czubkiem głowy chybanieba. Chybaniebo jest twarde jak sufit, pachnie jak tynk. Każdy z Bogów ma reflektor zamiast pępka. Jezus nie mógł mieć pępka. Jezus zgubił pępek świata. Pępek świata wyrósł jej na dłoni.

Kupiłem pastę do wybielania zębów. Pastę do czyszczenia podłogi. Pastę rybną. Zrobię mus pastowy, mus. Wydepilowałem sobie brwi. Tak jak codziennie depiluję nogi mojej matce. Ścieram piankę ręcznikiem w seledynowe paski. W pastelowe maliny. Matka nie czuje, że rosną jej włosy. Matka czuje, gdy zatnę jej łydkę.

Krwawią mi brwi. Przykładam do nich niesterylny lód spożywczy. Lud miejscowy zbiega się pod moimi drzwiami. Kobiety lamentują nad moim losem, mężczyźni płaczą nad dziewiczą krwią mojej matki. Nie-

pokalana najświętsza, zamknięta w spirali grzejnika elektrycznego. Pasja, krzycząca o nowej kreskówce w niedzielę. Będą nowi bohaterowie, całkiem.

Z czasem nauczyła się trzymać sztuce. Z czasem on oszedł. Oboje mieli wspólnego przyjaciela. Oboje uczyli się coraz więcej, coraz mniej się nawzajem widywali, zazwyczaj ona widywała jego dłonie, on jeszcze mniej, jej palce od dawna przestały go cieszyć. Zapominał.

Powiedzmy, że oboje nie powinni się nigdy spotkać, że ktoś powklejał ich przez pomyłkę, że ona powinna udawać Marilyn w klubie o stylistyce lat sześćdziesiątych, a on powinien się spotykać z prostytutką, przebraną za Audrey. Kiedyś Marilyn i Audrey by się spotkały i byłyby szczęśliwe. Wtedy Marilyn zlizalaby resztki jego naskórka z warg Audrey.

Powinni pić pomarańczową herbatę z innego gatunku pomarańczy. Powinni chodzić po chodnikach z innego piasku, a słońce powinno pokazywać inne pory dnia w południe. Nie wolno im było się spotkać, ani teraz, ani nigdy w najbliższej z przyszłości. W tej najdalszej nie mieliby szansy.

Zamknąłem drzwi. Matka ma wbity widelec pod każde z żeber. Nawet nie próbowała uciekać, ułożyła dłonie do modlitwy. Zamknęła oczy, jak przy porannej kąpeli – ściągnęła koszulę nocną i stanik. Zasłoniła twarz przed moją twarzą. Zamknęła nos przed moim zapachem. Nie wiem, czy czuła Boga. Nie wiem, czy czuła swoje dłonie, i pot na nich. Nawet nie wiem, czy czuła ból. Jęknęła i lekko się skuliła. Palce powędrowały do krocza, oczy zostały chyba otwarte. Źrenice wąskie. Niewidoczne, odcięły jakikolwiek dostęp świata do jej mózgu.

Wyszedłem około godziny 16.25 zamknąłem drzwi od strony zewnętrznej tzn. i tak mieszkalnej. Połknąłem klucz i zmarłem około godziny 16.37, upadając i skręcając kręgosłup w 5 miejscach, na co drugim schodku. Na skórze odcisnął mi się ślaczek, jak ten rysowany przez dzieci w pierwszej klasie szkoły podstawowej, albo i jeszcze wcześniej, nie wiem nie pamiętam, teraz nic nie pamiętam, poza przecinaniem pępownicy od świata. Pamiętam, że wtedy też spadałem. Że moja matka była małą klatką schodową, w której mieszkał cały świat. Pamiętam, że nie chciała mnie urodzić. Że kazała lekarzowi wsadzić mnie z powrotem, na miejsce, tam gdzie byłem, na trzecim piętrze jej układu wydalniczego.

Lekarz powiedział, że już za późno. Wziął do ręki srebrnego koloru szczypcę, najpierw wyrwał z niej moją prawą nóżkę, później kolejną prawą, ale chyba nie moją, więc wsadził ją na miejsce, reszta poszła mu już lepiej. Nóżka lewa, rączka, główka i kawałek kręgosłupa, tego połamanego.

Nigdy więcej nie mogłem tańczyć.

Ulice były pełne uli, każda pszczoła nazywała się Urszula i miała żółtaczkę. Zarażały miód. Umierać zaczął cały świat.

Pani Urszula z kiosku popełniła samobójstwo, podcinając żyły najnowszym wydaniem Przekroju.

Mąż pani Urszuli zadźgał całą rodzinę wykałaczką do szaszłyków, najmłodszą swą i jedyną córkę usmażył na ogniu z kuchenki gazowej. Po czym sam, polewając się olejem spożywczym, skoczył z piątego piętra zadając poważne obrażenia pochodowi mrówek, który transportował z mrowiska do siedziby tutejszej służby celnej. Zginął na miejscu. Przez przypadek wzięła go na plecy jedna z mrówek, i do tej pory mrówki mają nieograniczoną możliwość transportu żywności na granicy ulicy miast sąsiednich.

To nie jest tak, że wszyscy umarli. Bo wszyscy próbowali umrzeć. Ale nikomu się nie udało. To taka iluzja wszędobylska, mająca na celu potęgowanie powszechnego marazmu wśród Członków i Penisów społeczeństwa.

Tak, że każdy mężczyzna najchętniej by się wykastrował łyżką do arbuzów, a każda kobieta z chęcią by została amazonką, wycinając niepasującą jej pierś przy pomocy zębów swojego nowo narodzonego, aczkolwiek uzębionego dziecka.

I to nie jest tak, że zostali wymyśleni. Bo oni są tak, jak jest zakład produkcji znaczków. Mimo że niewiele osób go widziało, to znaczki przecież są. I nawet potrafią podróżować.

IZA SMOLAREK  
godło: „morfem”

I nagroda w kategorii poezji



*IZA SMOLAREK urodziła się 19.04.1977 r. w Gnieźnie. Pisarka, dziennikarka, animator kultury. Laureatka wielu konkursów poetyckich i prozatorskich, m.in.: Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Marka Grabli w Zielonej Górze, Konkursu im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej w Świdwinie (2005), Konkursu Poetyckiego „O Strzałę Ero-sa” w Nowej Soli (2005), Międzynarodowego Konkursu Literackiego Liberum Arbitrium „Polska Poetów 2007”. Publikowała w pismach: „Ex Libris”, „Pro Arte”, „Akant”, „Szafa”, „Pobocza”, „Odra”, „Portret”, „Akcent”. W roku 2006 otrzymała Nagrodę Prezydenta Miasta Gniezna za wybitne osiągnięcia w literaturze, natomiast w 2007 r. stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jest autorką tomu poetyckiego „się lenienie” („Portret”, Olsztyn 2006 – książka zgłoszona do Nagrody Literackiej Gdynia 2007) oraz współczesnej powieści kryminalnej pt. „Wilk i ... śmierć bankiera” (Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa, Warszawa 2006).*

## SZARE RENETY

umiera moja matka bez zaangażowania  
od czternastu lat a ja maluję usta  
przyglądam się cieniutkim skrzydłom brwi  
naprawiam fotel z roku na rok  
coraz bardziej bujany  
przez srebrne żaluzje słońce czyta  
franza kafkę porzuconego na stole

blada muszka owocówka w płaszczu  
z szarej renety uważnie bada bieg  
czasu i czy z tego biegu uda się ocalić  
smak rzeczy oczywistych, czułe lepkie piętno

umiera moja matka, która całe życie  
czytała rymkiewicza eliota brechta  
więc teraz nasłuchuje ósmego kwartetu dymitra  
gdzieś od strony gruszy a ja jej mówię mamuś  
daj spokój śmierci ona od rana jest niespokojna



## MOJRA

po wszystkim. leżymy  
leniwi od siebie i prawie śpiący  
bez ubrań i wstydu, za to w popkornie  
i wczesnym jarmuschu

ciemność dobrze wchłania się w ciało  
i my z dna kubków  
cedzimy kawę zależni od siebie  
dwoma półkami ambitnych książek  
milcząc na temat a w ustach

dnieje

twój cień spada na podłogę  
głowa do góry mówię za oknem  
bez jak churagan i czai się przyszłość  
opuszczasz ręce

(MEŹCZYŹNI)

w stosunku to widać najbardziej

długość ramion trójkąta do rozmiaru podstawy jest niebywała  
jednak bez wycucia chwili łatwo dochrapać się guza albo czegoś  
w tym rejonie. na starość pewnie przywyknę do niemrawego obrzędu  
śniadania bez następnego ciebie i kliszy jak z amerykańskiego kina  
wtedy boli najbardziej poetyka puchnącego zdjęcia  
dzieci w portfelu. słodka nerwica

wywołuje mnie czasem na środek sali. prawdziwe  
są tylko zmyślone historie – trzymając się tego szuram z miejsca  
żeby pospieszne dukać jak bardzo nie jest chociaż wygląda że jest  
jak wiesz na autorskim przez półprzywarte powieki. nieźle to znoszę  
jestem prorodzinna, a wręcz twierdzą śmiało – związki nieznane  
dotąd mi znane

są obojętne i zazwyczaj kończą się śmiercią albo ciężką chorobą  
zdumionych powódek. biedne małe do kwadratu! wzruszam ramionami  
dokładnie wtedy twoje ramiona zaczynają wzruszać mnie  
trochę jakby mniej. i wiesz jak jest spoko loko luz i spontan wszystko  
mi pewnie wytłumaczysz przy następnym merlo albo czystej  
poetyce z przypadku. mimo to trzymam się [wybacz] w życiu

słowa dobrały mi się lepiej niż mężczyźni

«E ABOVE FILE NAME IS INVALID»

moje pokolenie 1200 brutto niebieskookie  
od cichej rozpaczki miękkie od gorzkiej 100% czekolady  
i wartkich decyzji które podejmuje co wieczór dzwoniąc na audiotele  
nie ogryza paznokci ze strachu  
nosi tipsy z kleksem albo inną ozdobą umysłu

w futurystycznych szpitalach i innych  
symulacjach rzeczywistości rodzi puszyste furby  
które ominie biegunka koklusz głód i nieuczciwy pośrednik  
ruchomości trwalszych niż wyzwolenie od pojęć filozofii wschodu

po porodzie szybko wraca do zdrowia ćwicząc gamy i pasażę  
handlowe czynne także w niedzielę w słonecznej tubie ergoline  
gdzie oświeca go mądrość pascala prady einsteina h&m i buddy  
z relaksacyjnym dziennikiem w tle

analityk rozkłada pokolenie na kozetce recenzenci chwają  
analityka ma dobrą passę w prasie kobiecej i stałą rubrykę  
która natychmiast wchodzi na listę bestsellerów czasami

moje pokolenie ma trochę mniej szczęścia ale to przez bin ladena  
chrystusa żydów zmurszałe kategorie czasu strachu i przestrzeni  
oraz dziewięciu planet z których zostało tylko osiem  
wtedy traci na giełdzie

między chudym a tłustym  
w dobrze zbrojonym państwie z sojusznikami nadaje komunikat  
sygnałem świetlnym o absolutnym braku  
przeciwwskazań do nicości większej niż życie

ROCZNIK 1986,

Porto. migotliwy odprysk źrenic  
tu, na obrzeżach wiosny, w pulsie zabieganych ulic  
zastygły czas twoja pospieszna obecność, ciepły oddech  
tramwajów na nagiej łydce, spojrzenie mężczyzny  
z podartego skrzydła gazety, fotografia prasowa:

na placu zmęczeni licealiści, gorliwe handlarki, tłumy  
spłoszonych ziaren w niechętnych dziobach  
miastowych ptaków, połyskliwy papier-mache  
słów, od których dzień staje się  
czasem może i lepszy

razem milczymy bo nie o wszystkim  
warto dziś pisać. z dna widno-kręgu podpatrujemy  
los znajomych twarzy w dzielnicy która ma dziwną  
nazwę, smukłej szyi zielonej butelki, podartych słów  
pod policzkami, podczas gdy upał  
jak chwila wewnątrz, nie chce od nas odpłynąć

PRZEMYSŁAW OWCZAREK  
godło: „Jaś Melchizedek”

II nagroda w kategorii poezji



*PRZEMYSŁAW OWCZAREK urodził się 28.10.1975 r. w Łodzi. Antropolog kultury, doktor nauk humanistycznych, pracuje w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi. Debiutował w 2005 r. na łamach pisma „Tygiel Kultury”. Publikował swoje utwory m.in. w „Wakacie” i „Gazecie Wyborczej”. Nagradzany w licznych konkursach m.in. w: Ogólnopolskim Konkursie im. H. Poświatowskiej w Częstochowie (2006), Konkursie im. Jacka Bieriezina w Łodzi (2006), Konkursie im. W. Sułkowskiego w Łodzi (2006), Ogólnopolskim Konkursie im. K. K. Baczyńskiego w Łodzi (2007).*

## EZAW

onego dnia w styczniu bóg był śniegiem

i patrzył jak się wykluwasz ze śpiwora.  
szron budował miasto z igliwia. przesmyki z cyny  
i nieme bulwary. pobliskie zaułki nie do ogarnięcia.  
srebrne szczegóły, jak ten owad, który nie zdążył  
ukryć się w mchu. mroźna wróżba?

ani krztyny wiatru. bezwiedny spokój. wtarty w ziemię  
ogień. ślad po niebie, które wpadło w słońce  
i zamarzło. syk lasu. odległy zew motocykla.  
jazgot psa, który taszczył budę.  
chwila jasna jak mleko.

co słyszały twoje sarnie uszy? onego dnia  
bóg był śniegiem i patrzył. obmyłeś twarz w rzece.  
odwiedziłeś ojca. sprawdziłeś czy w dłoni  
dobrze leży ostrze? czy płynie z niego tamto

milczenie?

## SATORI DADA

motto:

*Śmierć dzieciństwa jest już dzieciństwem śmierci,*

Roberto Salvadori

Kuba robi kupę  
w rzece. to jest przyczynek do Heraklita i prawie zen  
gdyby nie dźwięczność imienia? świat ma metr dziesięć  
i bardzo dużo dzieje się na wątych odcinkach. ale tym  
niech zajmują się eleaci. imperium nam błogosławi.

cieszymy się, przecież

zabiliśmy pięćdziesiąt motyli i niejeden łeb spadł  
w tłumie tataraku. prawie jak w Chinach. i wszystko  
byłoby dobrze, gdyby nie kłótnia: kto jest szogunem?  
skończymy tę walkę w Normandii, albo pod Arnhem.  
mam flotę dmuchawców i drewniany sztylet.

Kuba ma blizny

na udzie i dłoni. mięsisty kształt żelazka. czasem mu odbija.  
zbyt długo siedzi w ciemnym pokoju i gra na klawirze.  
później przychodzi i mówi: 'pocałujmy się siusiaczkami'.  
(gdzie zniknąłeś Azazelu i twoje oczy z jadeitu?)

a teraz jest

goło. biegamy w płyciznach z łysymi fajfusami. dziewczyny  
jeszcze nie wyszły z naszych żeber. gdy kucam w wodzie  
Kuba jest rekinem. a potem patrzy, jak pod prąd wspina się  
moja kupa.

## ERRYL

retkińska wlewa się w krzemieniecką. to jest litera Taw  
z ramionami w obce kwartały. ścigacz przebija światło  
i próchno z latarni wpada

w popłoch. wysycha dźwięk. nie mogę zasnąć. piszę prolog  
do nieobecności. wdycham smugi po winie. na zdrowie luba.  
wyjechałaś. dwa dni długopis brał z tobą rozwód. w wodach  
zmatowiały wióry ze słońca. a jednak noc ma 20 stopni.  
myśl o mnie, gdy ściągasz koszulę, tam w Gryfinie  
przez twój nadgarstek płynie

Odra. ja znów nawiedzam stary dom, gdzie w piwnicy czeka  
wieczny lokator. ma siedem palców u lewej ręki i syczy:

„ofiara wstaje i drwi z mordercy”.

patrzymy w siebie. kto kogo? i kto wypowie: „tak”?



## EKFRAZA NA ODEJŚCIE

trochę seksu w podłodze, i łyk żubrówki dla chwili  
odniesienia. może niebo uwierzy, że referencje są

przejrzyste. ofiarowaliśmy mu tytoń.  
pragnienie stąpania w dymie.  
podszyliśmy się i udajemy

małżeństwo. zgarniamy proch, który sypie się z okien  
żeby ten mały świat mógł w każdej chwili zmartwychwstać.  
bo wczoraj jeszcze byliśmy. i śniłem góry. widziałem szczyty

w ugrze, za którymi nie było już nic. krajobraz chory na afazję.  
wraki świerków. chodziłem boso w spalonym lesie. leżałem  
w popiele. odnalazłem twoje ciało. ale nie mogłem  
dostrzec twarzy. nagły lęk, że to nie ty? to

ja. u m i e r a ł e m?

JEST WIECZÓR  
IDĘ NA GÓRĘ CHEŁMO

podobno jestem już sobą?  
soba mruży oczy. trzydzieści zim świat  
odcedzał bajkę o chłopcu-starcu. czy wystarczająco  
długo, żebym odkrył w lesie światło i zaczajone stroboskopy?  
tu, gdzie pisk jastrzębia szyje ranę po słońcu. wietrznie, i dęby płoną  
na akord. tyle snu brzmi w podszyciu. aż pękają powieki. puszczyk  
zachwiał się  
jak staruszka, a potem zerwał do lotu. nawet wczoraj nie pozostało  
nic, poza karmieniem  
pszczół. cukier i woda. noc jak likier zalała pasiekę. zbudziła owady.  
nieprzewidziany deszcz  
jabłek. mamrotanie pszczelarza. a teraz wspinam się, żeby zostawić  
resztę, jakbym wierzył, że otrzymam  
wszystko.

MARCIN ORLIŃSKI  
godło: „Zielony muchomor”



III nagroda w kategorii poezji

*MARCIN ORLIŃSKI urodził się 6.06.1980 r. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich m.in.: im. Rafała Wojaczka, im. Kazimierza Ratonia, im. Włodzimierza Pietrzaka, im. Michała Kajki, im. Leszka Bakuły „Miłość nie jedno ma imię” czy „O Kwiat Azalii”. Wydał tom wierszy „Mumu humu” (Zielona Sowa, Kraków 2006). Swoje utwory publikował na łamach ogólnopolskich czasopism, takich jak: „Odra”, „Twórczość”, „Topos”, „Studium”, „Akant”, a także w kilku wydawnictwach zwartych. Redaguje „Zeszyty Poetyckie” i kwartalnik literacki „szAFa”.*

\* \* \*

Trzeba szukać świata na jego obrzeżach, wśród mchu. Tam, gdzie rosną grzyby o nieznanym nazwach, zapisano śmierć naszych bliskich, Twój kolorowy kącik z rodzinnego domu, kudłate łby Tamtych Zwierząt. Wiem o tym doskonale, choć nie wierzę w kołowroty pamięci absolutnej.

Te wszystkie epoki, geologiczne skorupy (przekrój na przekór linii horyzontu) gdzieś tam są, majaczą. Szkoda czasu na przeglądanie książek telefonicznych, ważenie w dłoni cyrkla, kserowanie listów. Lepiej zanurzyć twarz w lustrze. Wino i krew to oblicza tego samego wysiłku, tej samej tężni, której na imię

chwila.

## SASKI KĘP

Jesień jak garść suszonych pomidorów wysypuje się z kosza. Kroimy z Magą cukinię. Zieleń przykleja się do palców, natychmiast wrasta w ubrania. Za naszymi plecami książki wymieniają się obwolutami, zmieniają autorów. Nasze cienie grają nam na nosie. Oddajemy się światu zarysów, pozwalamy wieczorowi przemijać.

Potem obcinam Madze włosy. Ciemne kosmyki powoli opadają na podłogę. Wyglądają dziwnie, nieswojo. Jakby zupełnym przypadkiem powoływano do życia Nowe Nieistnienie.

## ZWROTNIKI

Kapelusze martwych biznesmenów, hosanna różowych krawatów. Pochłania mnie ta sól, wciąga rajd po soczystych krzywiznach miasta. Maga mówi, że rozwiązał jej się bucik. Przytulam ją, jakby właśnie zbombardowano lunapark. W pracy zapieprz. Sezonowe grady meteorytów zmieniają trajektorię planety, przenicowują kocie oblicza.

Raz na parę tygodni marsz na Manhattan, z klasą, jaka przystoi towarzystwu. Z kasą na kilka piw. Nad ranem jest jeszcze siła, by butami rozchlapywać wodę z kałuży. Mrugać oczami. Śpiewać do księżycy *Crying at the discotheque*.

## PAPIER

Listopadowe poranki, jak białe, chropowate przęsła.  
Trzymam się kalendarza, bo język cyfr jest językiem  
Boga. Nieba bieleją od nadmiaru światła, planeta sunie  
po orbicie, huk rozpędzonych łożysk rozsadza mózgi  
ostatnich żywych stworzeń. Podobno zmiana to jedyna

kategoria, za pomocą której można zatrzymać czas.  
Od nadmiaru światła pustoszeją podwórka, mróz stempluje  
dokumenty śmierci. Musimy być czujni. Cisza wsiąka w nas

jak w papier.

MARIUSZ CEZARY KOSMAŁA  
godło: „Zylbert Srul”

wyróżnienie w kategorii poezji



*MARIUSZ CEZARY KOSMAŁA urodził się 4.02.1973 r. w Warszawie. Ukończył filologię polską w Wyższej Szkole Humanistycznej w Pułtusku. Mieszka w Legionowie. Debiutował w 2000 r. w Kędzierzynie-Koźlu (wyróżnienie w VII edycji „Krajobrazów Słowa”). Swoje utwory publikował m.in. w: „Akancie”, „Lampie”, „FA-arcie”, „Zeszytach Poetyckich”, „Łabuziu”, „Tyglu Kultury”. Nagradzany i wyróżniany w wielu konkursach m.in.: „O Złote Gęsie Pióro” (Węglany–Białaczów 2003), im. Zenona Przesmyckiego „O Laur Miriama” (Radzyń Podlaski 2003), „O Laur Jabłoni” (Grójec 2003), Legionowskim Konkursie Literackim (2005).*



## O JEZUS MARIA!

Jezus, koleś, który zmartwychwstanie, z włosami  
do ramion koleś, bo Jezus jest metalowcem,  
modli się właśnie w miejscu zwanym Getsemani.  
Za tysiąc osiemset lat niejaki Beethoven

napisze o tym swe czterdziestominutowe  
oratorium. Tymczasem Judasz jednak – ja nim  
znowu jestem – Judasz zdrady pełen, kohortę  
wiedzie, którą wysłali czcigodni kapłani.

No więc tak, mija trochę czasu, paręnaście  
godzin, nie więcej, ale co się porobiło:  
nie ma już Judasza – znaczy mnie – bowiem właśnie

zwisa sobie z drzewa, lecz za to są kapłani,  
Maria boleje, i On – na krzyż go przybito,  
by krzyknął: Eli, eli lamma sabachthani?!

6/7 XI 2006 r.

mck.trojan/jazz-39

Lecz za to miałabyś pewną maleńką korzyść:  
mogłabyś się przytulać, ile tylko wlezie.  
No bo popatrz: czy w domu, na mieście, czy w lesie  
na spacerze – robiłbym ci za kota, co żyć

nie daje, a tylko by się łąsił do twoich  
rąk, do twoich nóg, do ciebie całej. Pocałuj.  
I może mógłbym tak sprostać twojemu ciału,  
żeby od stóp do głów się śmiało. Więc pocałuj,

to jest prezent dla ciebie, którym się zarazisz.  
Lecz niewątpliwie będziesz miała korzyść: zamiast  
martwej poduszki, ktoś, kogo można przytulić

i krew z niego wyssać, i ślinę, i szpik z kości  
wyjeść łyżeczką języka; ktoś, kim się w końcu  
można nakryć jak kołdrą, opatulić i –

otruć?

24 VIII 2006 r.

## GAME OVER 2: ZABAWNY POGRZEB

Umiera się na raka, umiera ma zawał,  
na wojnie się umiera, umiera się z głodu,  
umiera pod kołami głupich samochodów,  
umiera się, bo komuś nagle świat się zapadł.

Umiera się ze strachu, z miłości umiera,  
umiera z nożem w brzuchu w biały dzień na dworcu,  
umiera się, bo Bóg tak zdecydował w końcu  
lub człowiek, który właśnie na pasku się wiesza.

Za ideały bardzo ładnie się umiera,  
lub żeby życie komuś uratować – również.  
Lub śmiercią się umiera tchórza i śmierdziela.

Umiera się za Legię – taką śmierć daj Boże –  
umiera w samotności lub umiera w tłumie,  
umiera się raz w życiu. Umiera się co dzień!

2–30 XI 2006 r.

## DOBRE PATRYCJE

Więc nareszcie nadzieję straciliśmy całkiem,  
choć i tak byliśmy beznadziejnym ciałem.

Niedokarmiane, nawet nie miałyśmy siły,  
nawet, żeby wam napluć w twarz, zabrakło śliny –

lecz przecież to drobnostka, wy wiecie, jak pieścić,  
jak głaskać tam, gdzie trzeba, jak używać pięści,

jak całować nas w usta na środku ulicy  
lub sprawnym ruchem ręki zęby nam policzyć.

Więc nareszcie przepadła z kretelem i wiara,  
zresztą i tak podobna do zwykłego wiadra,

mogliście tam nam wrzucać jałmużnę, łaskawie  
wykasłaną słowami, które kłamstwem krwawiąc,

ściekały z naszych sukien i spódniczek nagich.  
Mogliście nam bezkarnie wrywać też nogi,

ażeby nasza wiara, i tak już kulawa,  
nie dość, że ślepa, zwykłym była wiadrem dla was.

Więc póki można było, żeście korzystali:  
nadmiernie, do rozpuku, całymi ciałami.

I krzyčiliście w gniewie, że to tylko litość,  
a myśmy, głuche, brały to za trudną miłość.

Lecz wy wiecie, jak kopać nas, kiedy leżymy,  
jak robić, żeby nam się otwierały żyły,

i umieliście tak nas sobie przysposobić,  
że ani od was uciec, ani w was się schronić.

27 X-9 XI 2006 r.

## JESTEM JEGO KOBIETĄ

Lubię, kiedy mnie bije. Nie, nie robi tego kijem, lecz bije paskiem, różgą albo ręką.

Nie jest oprawcą, katem czy damskim bokserem, jestem jego kobietą, więc bije mnie z sercem.

Bierze mnie na kolana, jak małą dziewczynkę, wypinam pupę, on mi podciąga spódniczkę,

zdejmuje mi rajstopy, potem ściąga majtki, byłam niegrzeczna, biorę więc od niego klapsy,

różgi albo pasy, i kocham, gdy to robi, moje jest przewinienie, zasłużyłam sobie.

Lecz wiem, on mnie nie skrzywdzi, chociaż mocno bije, i pozwoliłabym mu się bić nawet kijem.

10–13 X 2006 r.

TOMASZ PUŁKA  
godło: „Przekład”

wyróżnienie w kategorii poezji



*TOMASZ PUŁKA urodził się 21.06.1988 r. Jest laureatem kilku ogólnopolskich konkursów poetyckich, m.in. im. Michała Kajki, „O Laur Czerwonej Róży”, „O Złote Cygaro Wilhelma”. W roku 2006 nakładem Wydawnictwa Mamiko w Nowej Rudzie ukazał się jego debiutancki tomik pt. „Rewers”.*

## RUBN

Plujesz od rana, tyle w tobie dziecka.

Ręcznik na oparciu. Wychodzę, ale wracam.  
Pocę się, patrzę przez okno. Zamykam.  
Zdania złożone. Powiedziałem: jest dobre,  
słone i ma znamiona

ulicy, czarne szyby. Byłabyś porzeczką?  
Nie znam się na tej miłości, nawet  
nie potrafię tańczyć. Puszczę ci Davisa, umyję  
za nią ręce. To można zmieścić w gardle,

złapać w siatkę, na żyłkę, nie być, nie być  
haczykiem. Od tego zaczynamy większość  
wierszy. Od tego jest jeszcze kilka metrów  
do morza. Wpław, ale są książki, więc:



## O MNIE, O SOBIE

Nie wylała rzeka. Albo wychodzę  
i zbieram, albo się kładę i czekam.

Okulary. Tak to wygląda, bo pali  
dwie paczki dziennie i zrywa jagody,  
po jednej, powoli. Odwraca się gdy krzyknę,

pomacham ręką,

pozdrowię. Czeka, zbierając jagody.  
Jest posłuszna i jej cień jest posłuszny.  
Czekają na resztę, na słońce na ramionach,  
chłodny oddech córki i inne wiadomości.

Podaję jej ogień. Chowa go za paskiem.  
Przychodzi listonosz i szczekają psy.

RAZ, DWA, TRZY

Albowiem *narracja rozplywa się* w ustach.

I znika. Jako i ślad po niej. Nie ma  
niczego. Nie będzie typowych  
odniesień

na miejsce. Mieliśmy siebie  
oddanych przez ciało (duże, ciężkie ciało przebite  
palem – a jeszcze wyrastały z drzewa  
zielone gałązki, jeszcze żyło zielonym

światłem) nam wspólne. Ciężkie maszyny,  
płyną po podziałach  
chleba.

Piszę o tym wszystkim, jakbym wcale nie wiedział.

Gdzie jestem? Gdzie jest moja

parasolka? O, paralakso deszczu (kiedy kładą się  
krople na twarz, kiedy świat jest bardzo  
płytki i grasz  
menueta)! Gdzie byłaś?

– W delcie pewnej rzeki, o której mówią  
*seks*.

## DAWNO TEMU

Mówię od razu: nie pokroję tego, co piszę. Różnie bywa, różnie się sprzedaje, różnie (to widzenie) róg gra. Bynajmniej guziki. Jak to wszystko powiedzieć?

To taki obraz, co sam siebie wkłada do koperty, kopertę zwilża śliną (to widzenie), zakleja i wrzuca do skrzynki. Bynajmniej deszcz. Idzie o coś konkretnego, namacalnego, bo miałem

sam siebie – odpowiem na siedząco: różnie bywa, różnie się sprzedaje, lecz zawsze to widzenie, to zamknięte puzderko;

te wszy i miesięczna krew.

DAWID MARKIEWICZ  
godło: „Zielony szerszeń”



wyróżnienie w kategorii poezji

*DAWID MARKIEWICZ urodził się 6.09.1982 r. w Sosnowcu. Mieszka i pracuje w Czeladzi. Debiutował w 2004 r. tomikiem pt. „Absynt”. Autor dwóch arkuszy poetyckich „Ponury kłown puszcza nocą latawce”, „Poranek jest tam, gdzie otwieram oczy”. Publikował m.in. w: „Śląsku”, „Akancie”, „Pro Arte”, „Plamie”, „Akancie”, „Kursywie” i „Odrze”. Laureat konkursów literackich m.in.: „O Gałązkę Oliwną” w Opolu, „O Laur Zawodziański” w Katowicach, Turnieju Jednego Wiersza im. S. Hora-ka, „Tyskie Lato Poetyckie”, I Ogólnopolskiego Konkursu im. Kazimie-rza Rationia. Poza pisaniem interesuje się fotografią, filmem i chińską sztuką walki z klasztoru Shaolin.*

ZIGGY STARDUST ZSTĘPUJE NA ZIEMIĘ I IDZIE DO KAWIARNI  
NAPIĆ SIĘ ZIELONEJ HERBATY

od kiedy zostałeś mistrzem kamuflażu, nie nosisz przy sobie dowodu osobistego. sam siebie nie poznajesz. twoje myśli nie odbywają już podróży astralnych, trzymasz je na smyczy, nocą przywiązując u wezłowia łóżka. nie mają kształtu, chociaż kojarzą się z latawcem, sondą rzeczywistości, wypuszczaną na noc przez smutnego chłopca, który nie może opuścić domu. rano wracają mówiąc, że nic się nie zmieniło.

patrzysz w lustro i stwierdzasz, że przestałeś się starzeć, a na pomarańczowych włosach nadal nie widać odrostów. notujesz spostrzeżenia z ziemi i zachowania ludzi. w południe pijesz chińską zieloną herbatę i siadasz przy pianinie. grasz wasze ulubione glissanda, wierząc że ona, tam daleko, je usłyszy.

SID VICIOUS I NANSY SPUNGEN WYNAJMUJĄ POKÓJ  
W CHELSEA HOTEL

*Jackowi P.*

stolica świata rozpadła się, jak rozpadają się marzenia.  
nancy, wiem że tu jesteś. czuję twoje perfumy.  
to nie mogło być prawdą. nasze wspólne łóżko krwawi.  
pamiętam ostatniego wypalonego z tobą papierosa i pierwszą heroinę.  
wszystko mnie bolało. słyszałem nasz wspólny strach  
szepczący w ciemnościach nowego jorku, na granicy obłądzenia,  
w pokoju nr 100. wszędzie była krew i ktoś cholernie potrzebował  
pomocy.

kilka dni później śniłem o tobie.  
byłaś aniołem w sukni białej jak amfetamina.  
tańczyliśmy nasze *danse macabre* i przez chwilę wierzyłem,  
że działo się to naprawdę.

*DELETE YOURSELF, CZYLI ZIELONY SZERSZEŃ*  
SŁUCHA ATARI TEENAGE RIOT

„Pamięć jest karą” – Marta Dzido

czasami chciałbym się zapomnieć. zrestartować umysł,  
odciąć każdą nową myśl, samplować wspomnienia  
w niesłyszalne dźwięki, poprawić twarz w fotoszopie,  
wyretuszować czarne myśli, zamknąć się w pokoju,  
wymiksować z życia.

wsluchać się w ciszę, zapisywać nowe doświadczenia, dryfować  
bez celu nie dopasowując się do otoczenia, narodzić się  
na nowo, nie sugerując się podświadomością, która daje  
niewyraźne znaki.

zmniejszyć rozdzielczość ego, zapomnieć o tym,  
co wydaje mi się, że wiem.  
klawiaturę ograniczyć do trzech klawiszy.  
wcisnąć control alt delete.

## GDYBYM BYŁ POLIKARPEM, MÓGLBYM ROZMAWIAĆ ZE ŚMIERCIA

musisz wiedzieć, moja miła, że nasze ciała są słabsze niż ci się wydaje. nie jesteś już młoda i niejedno widziałaś. mistrz spotkał cię po kłótni z sąsiadką z pola. wyglądałaś jak po sparingowej walce z bruce'em lee, więc nie dziw mu się, że nie wiedział, co mówi. w końcu miał swoje lata. wiedział natomiast, że trzeba być miłym dla kobiet i pod żadnym pozorem ich nie bić. dlatego poddał się bez walki.

dla mnie wciąż jesteś za stara, chociaż od naszego ostatniego spotkania minęło wiele lat i przybyło mi kilka kilogramów doświadczeń, nie dam się nabrać na twoje sztuczki, nie wyjdę ci naprzeciw i nie będziemy ze sobą rozmawiać. od mistrza nauczyłem się trzymać przeciwnika na dystans. poza tym figurujemy w zupełnie innych kategoriach wagowych. musisz też wiedzieć, że od kiedy rozstałem się z anką unikam demonicznych kobiet.



ZUZANNA WITKOWSKA  
godło: „NEKO”

wyróżnienie drukiem



*ZUZANNA WITKOWSKA urodziła się 29.10.1985 r. w Kędzierzynie-Koźlu, studentka Politechniki Wrocławskiej. Debiutowała w 2004 r. Swoje utwory publikowała m.in. w: „Odrze”, „Studium”, „Łabuziu”, almanachach poetyckich, m.in. w „Antologii poetów opolskich”. Nagradzana w konkursach, m.in.: „O Bursztynowe Pióro” w Kołobrzegu (2004), „Malowanie Słowem” w Szczecinku (2004), „Konkurs na Wiersz o Soli” w Wieliczce (2004).*

## DZIEŃ 5.

I proszę, z anioła zmieniłeś się w mężczyznę.  
Cóż za przewrotna powtarzalność historii – jakby  
nie było innych zaskoczeń, sznureczków do pociągnięcia.

Oswajam to skupienie i nagle poznaję:  
pączkuje we mnie cynizm, a przecież  
powinnam ciężko zapłakać. Załkać, w końcu.

Więc tak wygląda nagość, gdy dopiero teraz  
dostrzegam wszelkie kontury, swój zarys  
na tle, już nie twoim. Więc jestem osobna

i dziwnie zachwycam się, promienieję  
do wewnątrz, jakbym zbliżyła się, odkryła.  
I nic między nami. Nic oprócz światła.

GRAŻYNA LITYŃSKA-RAKOWSKA  
godło: „Kameleon”

wyróżnienie drukiem



*GRAŻYNA LITYŃSKA-RAKOWSKA urodziła się w Warszawie, gdzie mieszka do tej pory. W latach 1998–2002 należała do Grupy Twórczej „OKNO”. Jest laureatką wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich.*

*Jej wiersze, również w tłumaczeniu na język czeski, zamieszczono w antologiach poetyckich, czasopismach literackich w Polsce i Kanadzie oraz w licznych almanachach pokonkursowych. Wydała tomiki „Taniec w za ciasnych butach” (1999), „Wyrwane z krwiobiegu” (2003).*

\* \* \*

odwiedzają nas już tylko wyschnięte marzenia  
zbielące jak kości powierzone pustyni  
a pustynia w nas rozplenia się coraz jaśniejszym piaskiem  
coraz bardziej natrętna  
słowa ukrywamy głęboko  
w nadziei że kiedyś znów staną się modne  
i przyjmując sakrament ciszy  
ukradkiem przekazujemy sobie znak niepokoju  
bo kiedy odrosną nam skrzydła  
pójdziemy przez rzekę  
ślady stóp na wodzie będą jedyną pamięcią

w imię ojca i syna  
w imię matki i córki